Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.



WOLA I CZYN

CZASOPISMO SPOŁECZNO POLITYCZNE

Wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca

Rok II. Lwów, dnia 5 lutego 1938 r. Nr. 3.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Kopernika 42a, tel. 242-86. Konto P. K. O. Nr. 508250

WYZWOLENIE DEMONÓW

Po dłuższej przerwie, przywołane z banicji pojawiło się znów słowo „entuzjazm". Wymówił je, obejmując swój nowy mandat, gen. Skwarczyński.

Czy społeczeństwu potrzebne jest przypominanie, że tylko w atmosferze entuzjazmu dokonują się wielkie dzieła? Czy społeczeństwo jest właściwym adresatem w wołaniu o entuzjazm?

Chyba nie. Nam tego tłumaczyć, ani nas wzywać nie trzeba. Najgorętszym naszym pragnieniem jest doczekać wypadków, które w narodzie rozbudzą entuzjazm. Będzie to dzień, w którym odnaleziona zostanie wspólna nuta między rządzącymi i rządzonymi i to współbrzmienie stworzy potężny akord, niemożliwy tam, gdzie zachodzą dysonanse i wzajemne tłumienia dźwięków. Ale klucz do sezamu jest tylko w rękach rządzących.

Do nich należy inicjatywa. I ilekroć w „Gazecie Polskiej" czy innym miarodajnym organie czyta się pretensje o to, że tak mało jest naszego zapału, wówczas budzi się w każdym z nas pytanie: dlaczego do nas to mówicie? Dlaczego nie chcecie zrozumieć, że to, co głosicie, i metody waszego działania, i taktyka wasza i ton mentorski i próżnia, zionąca za frazeologią — wyklucza podniesienie uczuciowej temperatury społeczeństwa choć o ułamek stopnia?

Niewątpliwie — zadanie jest z każdym rokiem trudniejsze. Już nie ma się do czynienia z ludźmi, chętnie wierzącymi na słowo i żyrującymi każdy weksel. Dużo tej wiary udusiło się w goryczy rozczarowań. Dużo zaklęć uległo skutkom inflacji i budzi dziś chyba cierpkie wspomnienie. To, co zostało nadużyte i sfałszowane, nierychło wraca do pełnej wartości. Głowy są zwieszone, spojrzenia nieufne i chłodne. Trzeba bodźców o szczególnie dużej mocy, by odwalić pokłady żużlu i popiołu i dotrzeć do gorejącej głębi.

Jakich bodźców?

Dziś gdy główny nacisk kładzie się na problemy gospodarcze, trzeba sobie zdać sprawę z tego, że przy nikłej kulturze gospodarczej społeczeństwa te zagadnienia nie podniosą temperatury. Ani miliard złotych na inwestycje, ani elektryfikacja, ani motoryzacja, ani cyfry statystyczne produkcji. To wszystko przyjmuje się do wiadomości, aprobuje, ale bez bezpośredniego współudziału uczuciowego. Chyba tylko koncepcja drogi wodnej Bałtyk-Morze Czarne przez swój gigantyzm zdoła podniecić wyobraźnię, ale właśnie jest to plan najmniej wspólnego mający z rzeczywistością chwili bieżącej.

Z drugiej strony jest rzeczą jasną, że celem działania nie jest i nie może być sukces przemijający. Na to wystarczy zgromadzić tłum i pokazać mu brygadę kawalerii, defilującą w galopie. Chodzi o rzecz głębszą, trwalszą, o stworzenie wartości, na której coś się buduje.

I tu istnieje jedna tylko droga. Prowadzi przez elementy polityczne i moralne. Jest to jedyna dziedzina, w której jeszcze nie nastąpiło znieczulenie, w której psychika zbiorowa jeszcze reaguje żywo i żywiołowo. Widzieliśmy to tuż po zapowiedzi gen. Galicy, że ordynacja wyborcza ulegnie demokratyzacji, odczuliśmy to jeszcze w wyższym stopniu po rezolucjach listopadowego zjazdu we Lwowie.

Kto wówczas ustawiłby sejsmograf, notujący drżenie w nastrojach mas, kto — jak różdżkarz — szukałby fluidów i prądów, zdradzających istnienie podziemnych źródeł energii, — ten wówczas doszedłby do poznania prawdy. Odrzuciłby sztuczne teorie i koronkowe spekulacje wobec wyraźnego objawienia, że tam jest cel i kierunek, tam drzemie ów spętany dynamizm i tam jest formuła do jego wyzwolenia.

Możliwie, że nie wszyscy chcą tego wyzwolenia. Są tacy, którzy pragną okiełzać żywioł, i tacy, którzy schodzą mu z drogi. Aby świadomie wywołać demony, trzeba mieć pewność, że się im stawi czoło, że się jest dość silnym, by je wprząc w służbę.

Kiedy tej wiary w siebie samego brak, kiedy doszło się na pomost kapitański nie przez moc własną, lecz z podmuchem koniunktury, wówczas oczywiście nie chce się tego, co budzi lęk. Wtedy idzie się na małe gierki, na mechaniczną dyscyplinę, na fikcje, na hasła, o których się zgóry wie, że nie wzbudzą oddźwięku. Wtedy wynurza się do społeczeństwa pretensje, że nie płonie entuzjazmem, zrobiwszy przed tym wszystko, co trzeba, aby do żadnego zapłonięcia nie dopuścić.

Gen. Skwarczyński zapewne nie życzyłby sobie takiej gry. Niechże czuwa, by mu jej nie narzucono.



Akademia w lokalu Oddziału Związku Legionistów Polskich we Lwowie, z okazji otwarcia świetlicy i obchodu rocznicy powstania styczniowego. W pierwszym rzędzie od lewej: Gen. Tokarzewski i Wojewoda Biłyk, w drugim Płk. Bittner, Prezydent Ostrowski, Wicewojewoda Chmielewski, P. Maria Kazecka i Poseł Wojciechowski.

Polacy mają w sobie instynkt wolności. Ten instynkt ma wartość... W Polsce nie można rządzić terorem. To nie pójdzie. Ja mogłem sobie na wiele pozwolić i korzystałem z tego... Tego nie potrafiłby nikt inny. Ale instynktu wolności nie można zabijać i zabić go się nie da.

„Niepodległość" nr. 45,
rozmowa Marszałka Piłsudskiego
z A. Śliwińskim, 23 XI. 1931 r.

KAZIMIERZ SŁUPSKI

„Diło“ i „Słowo Narodowe“

Wiedzieliśmy, że endeckie przedwojenne „Słowo Polskie“ liczyło wielu prenumeratorów Ukraińców, specjalnie księży gr. kat. Uczyli się oni ukraińskiego patriotyzmu, czytając stale wyzwiska i wymyślania na swoich rodaków i swój ruch.

I na odwrót „Diło“ ułatwiało redagowanie „Słowa Polskiego“, które powołując się na niewybredne ataki „Diła“ podtrzymywało endeckiego ducha nienawiści Polaków do Ukraińców i tym szczuciem zdobywało uznanie i prenumeratę swoich zwolenników.

Dowiedziawszy się o założeniu „nowej placówki polskiej“ Słowa Narodowego, byliśmy ciekawi czy ta „współpraca“ nadal będzie miała miejsce. Praktyka i rzeczywistość przeszły wszelkie oczekiwania.

Za „Diłem“ i całą prasą ukraińską zaczęło „Słowo Narodowe“ atakować działaczy Sekretariatu Porozumiewawczego Polskich Organizacyj Społecznych i to takich, jak prof. Grabski i prof. Romer.

Wkrótce po tym zaczęli atakować prezesa S. P. P. O. S., a ostatnio i cały S. P. P. O. S.

Kto przegląda prasę ukraińską, tego nie zdziwią tytuły artykułów „Słowa Narodowego“ np. „Sekretariat ale polityczny“, a nie jeden Polak byłby zdziwiony gdyby się dowiedział, że kubek w kubek jak „Słowo Narodowe“ i ukraińska prasa zwalczała współpracę ludowców z S. P. P. O. S. Artykuł zaś „Słowa Narodowego“ p. t. „Uroczystość chrześcijańsko-pogańsko-marksistowska w Stronnictwie Ludowym“ był skrzętnie przedrukowany przez Ukraińców.

Działacze z terenu mogą np. pouczyć, że Ukraińcy zwalczają „Społem“ jako „narodową polskę placówkę“, co nie przeszkadza „Słowu Narodowemu“ zwalczać „Społem“ w artykułach „Socjaliści do spółki z ukraińcami chcą opanować gospodarczo Małopolskę Wschodnią“. W tej dziwnej i wprost przerażającej „współpracy“ jej partnerzy dobrze się orientują, że były działacz „Sokoła“, jako czynny wojewoda, czynnie popiera „Społem“ i że tą spółdzielnią interesują się Premier Rządu i inni wysocy dostojnicy Państwa. Anarchizujące elementy naszej dzielnicy przeraża to, że ta narodowo-polska organizacja dobrze pracuje i dlatego tak ją zwalczają, jak również atakują takich narodowców, jak prof. Grabski czy prof. Romer.

W tej „współpracy“ posuwają się tak daleko, że nawet wzajemnie darowują sobie omyłki w rodzaju tych, że „Słowo Narodowe“ nazywa metrop. Szeptyckiego neofitą.

Ruchy faszystowsko - hitlerowskie wojujących nacjonalizmów polskiego i ukraińskiego naszej dzielnicy opierają się na klerze rz. kat. i gr. kat. Będąc ruchami purytanizmu religijnego, pierwszy z nich zdobywa się także na ataki osoby metr. Szeptyckiego, który był jednym z głównych uczestników „polskiego“ synodu. Drugi zaś ruch katolicki „przeoczył“ to potknięcie i nie reagował na tę obrazę.

Kiedy jednak „Wola i Czyn“ powtórzyła w synonimie ten zarzut pod adresem metr. Szeptyckiego, — jedna tylko redakcja „Diła“ zareagowała w polemice ze mną.

Ten drobny incydent dowodzi tylko jak „katolickie“ są te odłamy. — Pierwszy formułuje zarzut „neofity“, drugi na „przeciwnika“ się nie oburza. Przecież Ukraińcy zawdzięczają metr. Szeptyckiemu prawie wszystko, co osiągnęli w ostatnich latach. Nie można zapominać, że metr. Szeptycki jest może pierwszym dostojnikiem cerkwi gr. kat., który jest tak katolickim i tak głęboko religijnym. Przywiązanie inteligencji i mas ukraińskich do ks. metr. Szeptyckiego da się wytłumaczyć tylko tym, że masy te są religijne i one odczuwają i należycie oceniają wartości katolicyzmu i religijności ks. metr. Szeptyckiego. I nikt z Ukraińców, nawet żaden z biskupów gr. kat. nie reagował na zarzut neofity, gdyż zarzut ten sformułowały bratnie dusze ze „Słowa Narodowego“.

„Słowu Narodowemu“ jak widać wiele pozwala się wiele, za to rozdziera się szaty oburzenia, gdy świadomie i celowo „Wola i Czyn“ tę grę demaskuje.

Odsłonił tę grę także red. Palijew i dzięki niemu dowiedzieliśmy się, że Ukraińcy dopełniali salę „Sokoła“ na wiecu prezesa Kowalskiego. Polemizując z red. Palijewem nasze narodowe „Słowo Narodowe“ zapewniło Ukraińców, że Ukrainiec, który napisał tę notatkę „nie umie po polsku i wszystko, co prezes Kowalski mówił o żydach, zastosował do t. zw. Ukraińców“. Pociesza też „Słowo Narodowe“ swych dmowszczyków, że Ukraińcy nie opuszczą szeregów partii, gdyż wiedzą oni, że „w Polsce dla Polaków zmieszczą się także doskonale Rusini“ (Ukraińcy).

Z tej polemiki dowiedziałem się przede wszystkim, że prezes Kowalski nie uważa za największą zbrodnię jaką „Polak popełnia, gdy kupuje w ukraińskich sklepach, gdy sprzedaje ukraińcowi ziemię“ i td. Taką krytykę Kowalskiego, „Słowo Narodowe“ nazwało, że jest „zbrechtana od a do z. Jest po prostu wymyślona przez zawodowego brechuna (kłamcę)“.

Nie ciekawią nas brednie p. Kowalskiego. Zastanawia nas dlaczego p. Kowalski na wiecu, obesłanym także przez Ukraińców wyśmiewał „swego“ gen. Hallera i w tak mocnych słowach krytykował Polskę Współczesną. Na takich wiecach nie będzie się gruntował patriotyzm państwowy uczestników Ukraińców.

Wielką tragedią omyłek jest także i ten fakt, że wiec obsłużony przez Ukraińców próbował określać rolę Dmowskiego. Taką niedźwiedzią usługę oddać Dmowskiemu, że Ukraińcy mają na wiecu uchwalać i ustalać jego zasługi dla Polaków, to przecież żart nie tylko makabryczny ale też lekceważenie swojego wodza.

Nie dziwimy się też, że politycy, którzy takie zasługi oddają Dmowskiemu mogą pomagać Ukraińcom w ich walce z S. P. P. O. S. i muszą występować przeciw współpracy polskiego chłopa w realizacji programu rozbudowy polskości naszej dzielnicy.

Tę rolę dmowszczyków trzeba należycie naświetlać. Z metod ich walki z S. P. P. O. S. całe polskie społeczeństwo musi sobie zdać sprawę.

Musimy pamiętać o tym, że oba bloki nacjonalne naszej dzielnicy pozornie tylko ze sobą walczą, a w gruncie rzeczy szczucie rodaków jest im potrzebne do własnej gry partyjnej i dla tej gry zwalczali, zwalczają i zwalczać będą każdego, kto tylko zechce realizować rozumny program tak koniecznego podniesienia na duchu polskiego elementu miejscowego przede wszystkim naszych wsi i miasteczek.

Różni ludzie wykorzystali donosy i „Słowa Narodoweg“ i prasy ukraińskiej. Rozmaicie też zostały wykorzystane żale dmowszczyków i Ukraińców na S. P. P. O. S.

W nowej sytuacji politycznej, jaka się wytworzyła w Małopolsce Wschodniej realizowany będzie nowy program polityczny. Nie znamy go i niewiemy jak będzie wyglądać jego realizacja. Przypominamy, że w r. 1918 stworzono nową rzeczywistość, która nie wytrzymała próby życia i zrodziła ona nowe zalążki nienawiści o sile tak potężnej, że w r. 1935 rozbiła ona próbę normalizacji polsko-ukraińskiej.

Element polski naszej dzielnicy nie ugnie się nawet wtedy, gdy w Warszawie zastosowane zostaną adwokackie kruczki fałszywych przedstawień i naświetlań pretensyj hitleryzujących Polaków czy Ukraińców.

STANISŁAW LIPIŃSKI

MIMOCHODEM

Ukraińska prasa traci ostatnio na wartości. Najpoważniejsi nawet Ukraińcy nie zaprzeczają, że montaż, układ i td. całych numerów „Diła“ i innych pism ukraińskich budzi wiele zastrzeżeń natury publicystycznej. Te niedociągnięcia redakcyjne sprawiają wiele kłopotów ukraińskim patriotom.

„Niedociągnięcia“ wykazał im też ostatnio „Ruskij Hołos“, który zebrał parę ich gaff i to z ostatnich dni. I my bez trudności możemy zwrócić uwagę na wiele niedokładności.

Wystarczy gdy „Diłu“ przypomnimy polemikę z nami na temat prof. Kopystiańskiego i odwołamy obecnie p. Kiedryna do nekrologu „Diła“, poświęconego temu wybitnemu historykowi. Różne są miary prawdy „Diła“, wyjątkowo jest w polemice z nami, uczciwej zaś prawdy zdarza się coraz rzadziej i to przez przypadek.

Po tym za krótkim zresztą wstępie nie trudno nam będzie „rozprawić“ się z „Diłem“ w związku z ostatnią jego polemiką z nami. Pragnąc nam „dokuczyć“ do tego stopnia mijają się z „prawdą“, głoszoną przez swoich rodaków, że nawet zaprzeczyli temu, co nie tak dawno pisał Kość Lewicki w serii artykułów, drukowanych w „Dile“ na temat swych wspomnień i przeżyć z polskimi politykami.

Nie chodzi też tylko o to, co pisał Lewicki. Ważne jest, że stale od r. 1914 przedstawialiście działalność miejscowych Polaków jak najujemniej. Dopiero w polemice z „Wolą i Czynem“ po raz pierwszy przyznaliście się do kłamstw tej propagandy. Okazuje się i to dopiero w r. 1938, że za polskich rządów w Galicji otrzymaliście aż tyle polskich koncesyj i za nie odpłaciliście się szkalowaniem miejscowych Polaków i wypadkami z r. 1918-19. Lepiej późno niż nigdy i nie wątpimy, że tym razem znacznie prędzej zaniechacie współczesnej propagandy na temat „prześladowania polskiego“ w czasach powojennych i ostatnio w czasach normalizacji polsko-ukraińskiej.

Na razie prosimy Was o sprostowanie jednej nieścisłości natury zasadniczej. Inwalidą ukraińskim jest nie tylko ten Ukrainiec, który walczył i zdrowie stracił w latach wojny 1918-19. Inwalidami ukraińskimi są także Ukraińcy z czasów wojny światowej i oni z Polskiego Skarbu pobierają ładne wyposażenia inwalidzkie. Są to sumy tak poważne, iż zaprzeczać realności tych wypłat to zbędny trud.

Druga grupa polemicznych uwag „Diła“ wiąże się z tematem „Lwowskich Wisty“. Z obowiązku publicystycznego zasięgnęliśmy opinii redakcji „Lwiwskich Wisty“ i dowiedzieliśmy się o ciekawym kłopocie redakcyjnym. Redakcja ta jest zasypana artykułami Ukraińców, którzy rozpisują się na tematy swych pretensyj do Ukraińców i całego ruchu. Nie mogą ci Ukraińcy zrozumieć, że redagowane także przez Polaków „Lwiwski Wisty“ nie chcą i nie będą drukować artykpłów, szkalujących ruch ukraiński. Sapienti sat.

Tematu donosów nie radzimy „Diłu“ poruszać. Wystarczy porównać nekrolog „Diła“ i to, co tylko jedno „Diło“ stale pisało o prof. Kopystiańskim i co pisze o Starorusinach. Czy mamy przypominać zeznania Ukraińców z czasów wojny światowej w wojennych austriackich procesach Starorusinów? Czy może mamy wypominać „rewelacje - donosy“ na polskich urzędników, działaczy i td., już choćby tylko za czasów ostatniej normalizacji polsko - ukraińskiej? Nie oszczędziliście w „Dile“ nawet kolegów - posłów, z którymi kandydowaliście ze wspólnych list.

Bezpodstawnymi oskarżeniami i nie wybrednymi docinkami nie będziemy się przejmować. Jedna przykrość więcej dla tych Polaków, którzy uczciwie pragną moralnego odrodzenia ukraińskiego ruchu i którzy chcą mieć do czynienia z ukraińską grupą ideowo zwartą i zdążającą do swych celów metodami uczciwości politycznej.

Nie obawiamy się ukraińskich działaczy „posiadających cywilną odwagę i poczucie godności osobistej“. Właśnie dlatego, że takich szukamy musimy piętnować tych, co w Warszawie składają przysięgę na konstytucję Państwa Polskiego i po tym akcie co miesiącą pobierają płacę senatora, — a we Lwowie na zjeździe U. N. D. O. najgorliwiej występują za oderwaniem ziem Państwa Polskiego.

Żądamy uczciwości i dlatego po takim wystąpieniu na zjeździe U. N. D. O. oczekiwaliśmy złożenia przez „politycznie uczciwego“ mandatu senatora. Kto pogwałcił polski kodeks karny, ten przynajmniej nie powinien pobierać płacy senatorskiej.

Co więcej razi nas, że p. senator stale zapewnia w Warszawie o apolityczności ukraińskiego ruchu spółdzielczego, co mu nie przeszkadza na zjeździe U. N. D. O. uczyć ukraińskich spółdzielców i zagrzewać ich do walki..... o oderwanie ziem Państwa Polskiego. Tak interpretujemy wystąpienia p. senatora na zjeździe U. N. D. O. Z przyjemnością przeprosimy go, gdy nam uczciwie, logicznie i rozumnie wyjaśni naszą omyłkę,

Zagadnienie młodego pokolenia

Zastrzegając sobie omówienie problemu narodowościowego z referatu posła dra Bron. Wojciechowskiego, sprawozdawcy budżetu M. S. Wewn., do następnego numeru, dajemy poniżej według stenogramu ustęp, dotyczący zagadnienia młodzieżowego. Czynimy to m. in. dlatego, ponieważ w skrótach i relacjach prasy codziennej ta właśnie sprawa uległa najsilniejszym zniekształceniom.

Gdy mowa o polityce wewnętrznej, nie podobna pominąć sprawy młodego pokolenia, które, — stwierdzam to odrazu na wstępie, — w anormalnych warunkach wchodzi w życie. Tak się bowiem ułożyły stosunki w Polsce, że problem młodzieży często więcej nasuwa tematów do traktowania przy zagadnieniach polityki wewnętrznej i bezpieczeństwa, aniżeli przy resorcie oświaty. W dalszej części mego referatu wykażę szczegółowo, w jak ciężkich warunkach znajduje się młode pokolenie chłopskie, które wyrzuca corocznie małorolna wieś i które ma zamkniętą drogę do miasta, — do handlu, do przemysłu i rzemiosła, gdzie nie przybywa warsztatów pracy, a te, co są, — wegetują i zajęli je żydzi. Dołącza się tu kwestia młodego pokolenia inteligenckiego, które, opuszczając uniwersytety i gimnazja, staje coraz częściej bezradne wobec niemożności zdobycia sobie warsztatu pracy i kawałka chleba, — z jednej strony, z powodu opanowania wolnych zawodów przez element żydowski, — z drugiej, z powodu nieodpowiedniej polityki rządu i całej góry naszego społeczeństwa, które nie stwarzają odpowiednich warunków zatrudnienia młodych ludzi. Działają tu dwie przyczyny:

1) słaby rozwój gospodarczy Polski, nie nadążający za przyrostem ludności i przybytkiem młodej inteligencji,
2) nieodpowiednia polityka personalna i emerytalna, pozwalająca na zajmowanie posad przez dobrze uposażonych emerytów i na kumulację stanowisk.

Oczywiście istotną jest przyczyna pierwsza, — druga jednak ma znaczenie emocjonalne, silnie zaostrzając antagonizm między starszym, a młodszym pokoleniem. Jakkolwiek jest, musimy stwierdzić, że u większości młodzieży kończącej studia, wytwarza się uczucie beznadziejności w stosunku do własnej przyszłości. Młodzież nie ma pędu do pracy organicznej, w duszy jej znajdują łatwiejszy oddźwięk hasła negatywne, a nie twórcze, — zdobywają posłuch teorie polityczne, burzące dzisiejszy porządek rzeczy, a nie budujące lepszą przyszłość narodu. I to zarówno, gdy chodzi o wpływy grup ekstremistycznych prawicowych, czy lewicowych.

Tak zwany antagonizm młodego i starszego pokolenia jest zagadnieniem odwiecznym. I nie w tym leży groza niebezpieczeństwa, że młodzież krytykuje starszych, że szuka własnych dróg w rozwiązywaniu kwestii politycznych i społecznych, że nawet dąży do przebudowania ustroju społecznego. To są rzeczy zgoła normalne i błądzą ci ze starszego pokolenia, którzy biadają z powodu t. zw. nowinkarstwa młodzieży, jak gdyby w młodości sami nie byli krytykami swoich ojców.

Na sprawę młodzieży trzeba spojrzeć z innego punktu widzenia. Nie rozdźwięk między poglądami starszych i młodszych winien być naszą największą troską. Ten rozdźwięk minie, jeśli tylko ułatwimy młodzieży dorosłej moralne wchodzenie w obręb pracy zawodowej i społecznej.

Ale jest inny, gorszy rozdźwięk, dotyczący samego młodego pokolenia! Jest to diametralnie różne ujmowanie życia społecznego i doktryn społeczno-politycznych przez młode pokolenie inteligenckie z jednej strony, a młode pokolenie chłopskie i robotnicze z drugiej. Mówił o tym z troską głęboką Minister Oświecenia Publicznego śp. Sławomir Czerwiński. Oto jego słowa, wypowiedziane w Wilnie dnia 28 listopada 1929 roku: „Patrząc na te nieprawdopodobne nastroje wśród części naszej młodzieży akademickiej, niektórzy politycy prawicowi widzą w tym renesans nacjonalizmu i już naprzód śpiewają hymny triumfalne, wierząc, że przyszłość do nich należy. Przyszłość? Ja tę przyszłość widzę inaczej“ — mówił śp. Czerwiński. „Ja nie zapominam, że w tym czasie, gdy wśród młodzieży naszych szkół akademickich próbuje święcić triumfy nacjonalizm, w tym samym czasie na szerokich obszarach Polski, w cieniu kominów fabrycznych i szybów górniczych, w cieniu sadów wiosek naszych, rośnie także nowe pokolenie polskie. — Co będzie, gdy dwie warstwy jednego pokolenia, ta ze szkołą akademicką i ta ze szkołą powszechną, spotkają się kiedyś i nie znajdą wspólnego języka, by się porozumieć“?

Pozwoliłem sobie przytoczyć tę dłuższą cytatę i stwierdzam, że prawie nic się nie zmieniło od tego czasu, a jeśli się zmieniło, to na gorsze. Młode pokolenie chłopskie, któremu po przedwczesnej śmierci śp. Ministra Czerwińskiego zamknięto przez złą reformę szkolną mury uniwersytetów i utrudniono przystęp do gimnazjów, zdobywa z trudem oświatę w szkołach powszechnych, w niższych szkołach rolniczych, dokształca się społecznie i zawodowo na różnych kursach i t. zw. „Uniwersytetach Ludowych“. Z kursów tych wychodzi nowy typ społecznika wiejskiego, o zdecydowanie antyrządowym nastawieniu, co więcej, nastrojonego negatywnie wobec dzisiejszej Polski, określanej jako Polska pańska.

Ta młodzież ludowa, a raczej ludowcowa, wychowuje się w przeświadczeniu, że stan obecny musi ulec gwałtownej przemianie, że musi przyjść okres radykalnych rządów w Polsce, który zmiecie z powierzchni warstwy uprzywilejowane, dręczące chłopa i wieś wyzyskiem ekonomicznym i podatkowym. Do tej grupy młodzieży zbliżona jest młodzież robotnicza, idąca jeszcze więcej na lewo w swoich dążeniach ideologicznych, zgadzająca się z młodzieżą ludową na punkcie dążenia do opanowania władzy w Państwie i wystawiająca hasła jeszcze bardziej radykalne społecznie.

Na drugim biegunie jest młodzież inteligencka, zapełniająca nasze uniwersytety. Tam panują kierunki prawicowe, skrajnie nacjonalistyczne, zabarwione tu i ówdzie pewnym swoistym radykalizmem społecznym, który raczej jest wyrazem wrodzonej młodzieży wrażliwości na krzywdę społeczną, aniżeli programem społecznym w ścisłym tego słowa znaczeniu. W zasadzie hasła społeczne w grupach prawicowych młodzieży są taktycznym pociągnięciem ze strony przywódców, którzy rozumieją, że tylko tą drogą mogą zyskać większą sympatię dla swych haseł politycznych. W gruncie rzeczy, jeśli moglibyśmy określić ruchy młodzieży ludowcowej, ruch t. zw. Młodej Wsi, jak i ruchy młodzieży robotniczej t. zw. „Turowców“, a także młodzieży, która wychowuje się w Związkach Strzeleckich, jako prądy demokratyczne, — o tyle prądy ideowe znacznej większości młodzieży uniwersyteckiej i wogóle inteligenckiej, są prądami anty-demokratycznymi.

Nie poruszam tu skrajnie lewicowych odłamów młodzieży socjalistycznej i komunistycznej, gdyż wpływy ich na uniwersytetach są minimalne.

Da umysłów i serc znacznej większości młodzieży akademickiej docierają więc i znajdują żywy oddźwięk prądy polityczne o charakterze totalnym.

I jeśli mówiłem o groźnym rozdźwięku, zarysowującym się wewnątrz młodego pokolenia to dlatego, że istnieje linia podziału między jego odłamami. Ci, co mają w przyszłości reprezentować mózg i wykształcenie, co mają być elementem kierowniczym i pewną elitą, są to totaliści w różnych odmianach. Ci natomiast, co mają tworzyć szeregi wykonawców, prowadzić bezpośrednio masy, będąc ich cząstką organiczną, ich sumieniem, ich sercem — ci są demokratami.

Jakże mówić będą ze sobą o Polsce, jakże będą rozumieć się nawzajem, gdy oddamy im w ręce losy Państwa i Narodu!

Gdy Marszałek Śmigły-Rydz jako Naczelny Wódz, poszedł na jedno z zebrań młodzieży akademickiej, poszedł tam po to, aby nawiązać łączność z przyszłymi oficerami Armii. I słusznie. Bo to nie tylko przyszli oficerowie armii, to przyszli inżynierowie i prawnicy, urzędnicy i lekarze, — to przyszli oficerowie społeczeństwa cywilnego. I trzeba z nimi mówić i starać się ich zrozumieć, aby i oni zrozumieli nas, starsze pokolenie. Ale zapytać należy, kto idzie dziś do młodego pokolenia chłopów i robotników, kto, poza wojskiem, przemawia do ich serca i sumienia, — kto w społeczeństwie, jak niegdyś Komendant Piłsudski, — wychowuje masy, gwarzy z podoficerami narodu i ludu polskiego?

Nie mam na to odpowiedzi — nie znajduję jej w praktyce działania Rządu i Obozu Rządowego.

Widzę natomiast błąd w ujmowaniu problemu młodego pokolenia, jeśli chodzi o utrzymanie koniecznej dyscypliny w społeczeństwie. W minionych latach zaniedbaliśmy, jako obóz polityczny, wychowanie polityczno-społeczne młodzieży, od dwu lat notujemy nawrót do tej kwestii. Nerwowość działania w poczuciu opóźnienia tej pracy, rzuca się w oczy. Nie odróżnia się tu jednak dwu spraw: problemu kształcącej się jeszcze młodzieży uniwersyteckiej, od problemu młodego pokolenia, które ukończyło swe studia. To dwa bardzo odrębne zagadnienia — właśnie z punktu widzenia porządku społecznego, oraz bezpieczeństwa wewnętrznego. W postępowaniu ze studentami należy stosować politykę możliwie liberalną, — wszak to nasi najdrożsi następcy, którzy dopiero kształtują swoje charaktery i zdobywają wiedzę. Trzeba ich wychowywać, a kto wychowuje, musi umieć dużo wybaczać. Dlatego, mimo niepokoju, jaki ogarnia nas na widok zanarchizowania życia uniwersyteckiego, nie możemy wezwać władz do zaostrzenia represji na tym odcinku, przeciwnie, zalecamy cierpliwość i wyrozumiałość. Ale wydaje nam się, że to zanarchizowanie i zbrutalizowanie życia na uniwersytetach nie jest spowodowane przez samą młodzież i jej organizacje. Działają tu inne, starsze i doświadczeńsze ręce. To właśnie ręce ludzi, którzy już wyszli z uniwersytetów i wtargnęli z temperamentem do polityki, a nie wiadomo dlaczego uchodzą w oczach społeczeństwa za młodzież, której przysługują, jak to stwierdziłem, wyjątkowe uprawnienia. Ta ukończona młodzież nie może być traktowana z gestem pobłażania, gdy chodzi o zagadnienie porządku społecznego i bezpieczeństwa, choćbyśmy nawet przy analizie jej nastrojów doszli do wniosku, że są ważne przyczyny uzasadniające głębokie w niej fermenty. Kto opuścił uniwersytet i skończył, powiedzmy lat 25, — ten musi być traktowany przez administrację państwową i organa bezpieczeństwa tak samo, jak każdy inny starszy obywatel, czterdziestoczy pięćdziesięcioletni. Gdy taki młody człowiek narusza spokój publiczny i łamie prawo, choćby w imię najpopnętniejszych haseł to uczynił, musi być traktowany z taką samą surowością, jak każdy inny obywatel, — jak naprzykład robotnik, stosujący terror przy strajku ekonomicznym, lub chłop na wsi, porywający się na policję. I nie wolno w państwie tolerować u jednych takiego zachowania się, które nie jest dozwolone innym. Nie wolno dopuszczać do występowania umundurowanych oddziałów nielegalnego O. N. R.-u i jego przybudówek. Wszak istnieje rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 2 października 1935 r. Dz. U. R. P. nr. 72 — oraz rozporządzenie wykonawcze z dnia 15 października 1935 r., re-

---

a może nie naszą a tylko pojazdowego komunikatu „Diła“.

„Diło“ polemizuje z nami nie po raz pierwszy i ostatni. W polemice z nami nie miało dotychczas szczęścia. Inaczej być nie może, gdy my traktujemy ich ruch poważnie, jako ruch masowy i silny. Cenimy ukraiński „teren“ i niestety musimy lekceważyć lwowski „prowid“.

Odpowiadając nam Ukraińcy zajmują pozycję słabych i politycznie niewyrobionych. Wydawało się nam, że to tylko taktyka. Niestety coraz częściej nasuwają się nam wątpliwości i to coraz poważniejsze, czy ta taktyka jest tylko tak marna, czy też może partner jest faktycznie tak ideowo słaby. Jakże inaczej wytłumaczyć sobie ich pogardliwe traktowanie Dmytra Lewickiego, którego mamy powody ideowo zwalczać, ale tylko my Polacy. Z tych samych powodów nie powinni oni tak nim pomiatać. Przynajmniej „Diło“ ma obowiązek uczciwie go bronić przed napaściami... Tyktora.

Kiedy swoich tak traktują, jak zasłużonego Dmytra Lewickiego, czyż mamy się dziwić, że tą samą metodę zwalczania przeciwnika stosują do b. dla siebie niewygodnej „Woli i Czynu“, która wybija się rzeczowością omawiania spraw ukraińskich i dla swej rzeczowości jest czytana zagranicą.

A może ten „groch z kapustą“ „Diła“ dowodzi tylko zakłopotania i potwierdza to, co mówią nam poważni Ukraińcy: kiedyż wreszcie nasza ukraińska prasa zacznie tak uczciwie pisać prawdę o Ukraińcach, jak to robi „Wola i Czyn“?

—o—

gulujące kwestię używania mundurów przez organizacje społeczne. Nie można tolerować w stolicy maskarady, gdy młody 24-letni panek przystraja się w mundur, opasuje się pasem oficerskim i ze świtą kilku otaczających go uzbrojonych entuzjastów czy naiwniaków, chorujących na kompleks „führerstwa", występuje na publicznym politycznym zgromadzeniu, wywołując zamęt w głowach zebranej licznie prawdziwej uniwersyteckiej młodzieży. To jest zabawa bardzo niebezpieczna. Bo najpierw pisze się o przełomie narodowym, po tym przygotowuje się w gronie kilkudziesięciu quasi - sprzysiężonych jakiś przewrót, a wreszcie straszy się „krwawym kwandransem", wzniecając zamieszanie w naszym życiu polskim, które ma tyle innych prawdziwych trudności do pokonania. Nie chcę wracać do przykrych wydarzeń z drugiej połowy 1937 r., do wystąpień bojówkowych oddziałów ochronnych No. 1 lub No. 2, — do napadów na ludzi innych przekonań, lub do owej tchórzliwej masakry pochodu robotniczego przez bojówkę oenerowską, — albo do osławionego opieczętowania odznaką Związku Młodej Polski Związku Nauczycielstwa Polskiego przez straż przyboczną niefortunnego pana Musioła...

Dobrze, że te rzeczy minęły — i oby się nie powtórzyły. Myślę, że czuwać nad tym będą organa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a w pierwszym rzędzie Pan Wojewoda Jaroszewicz.

Gdy określimy jasno nasz stosunek do młodzieży akademickiej, której pierwszym i naczelnym obowiązkiem jest nauka, a nie polityka, — gdy powiemy wyraźnie co wolno, a czego nie wolno z punktu widzenia porządku prawnego w państwie dojrzałym młodzieńcom, opuszczającym ławę uniwersytecką, — napewno dojdziemy do porozumienia prędzej, czy później z całym młodym pokoleniem. Ale młodzi muszą widzieć i wierzyć, że mają równy start życiowy z nami starszymi, gdy chodzi o zdobycie warsztatu pracy i chleba, a jeśli spotykają ich trudności życiowe, lub nawet represje ze strony władz, to wynika to nie z egoistycznych pobudek tych, co opanowali władzę i stanowiska w państwie i społeczeństwie, lecz z naturalnych warunków, w jakich pracuje i rozwija się naród, oraz z troski powołanych do tego czynników o zagrożony przez agresywność młodych interes publiczny.

Myślę, że na tym gruncie można mówić z każdą młodzieżą: endecką i oenerowską, ludową i dawną pro-rządową. Ale trzeba przy tym podnieść ofiary: personalne, materialne, prestiżowe, „stanowiskowe". Wydaje mi się, że tych ofiar od starszego pokolenia oczekuje cała młodzież polska.

Jeszcze jedno. Stosunek młodzieży do kwestii żydowskiej.

Naświetlę tę kwestię ogólnie w dalszych uwagach. Tu pragnę zaznaczyć, że cokolwiek się dzieje w Polsce, Rząd Polski w imię porządku i poszanowania Konstytucji musi stosować represje przeciw wystąpieniom młodych, przekraczającym dozwolone granice walki politycznej i ekonomicznej z żydami i nie może uznać metody pałki i kastetu w rozgrywkach politycznych. Ale żydzi muszą pamiętać, że ani Rząd Polski, ani społeczeństwo nie zapomni nigdy o tym, że te wybryki i wykroczenia popełniane są przez nasze dzieci. Toż to nasza krew i nasza nadzieja, toż to przyszli gospodarze Polski i przyszli żołnierze Armii polskiej. I choć będziemy potępiali ich wybryki i stosowali represje, — nic nie zmieni naszych uczuć wobec młodego pokolenia, które jest i będzie zawsze bliskie naszemu sercu.

Dr. H. J. R.

Ideolog sojuszów z Ukraińcami

W poprzednim artykule „Woli i Czynu" pt. Międzynarodówka w obronie ks. dr. Zöcklera. Ogólnoniemiecki Zjazd składa hołdy w Stanisławowie i prosi o policję" zapowiedzieliśmy polemikę z artykułem dr. Zöcklera, który w swoim „Evangelisches Gemeindeblatt" z dn. 20 grudnia broni się, jakoby nie był patriarchą ukraińskim, jak tego chce zbyt gorliwy jego wielbiciel prof. Koch, b. oficer armii Petlury, walczący z Polską. Dr. Zöckler twierdzi, że nie przypuszczał, by kościół ewangelicki mógł wywrzeć jakiś wpływ na ukraińską ludność i był bardzo zdziwiony, gdy w kilka lat po wojnie światowej zgłosił się u niego pewien wybitny prawnik ukraiński z prośbą o przyjęcie go w poczet członków Kościoła ewangelickiego. Wtedy dopiero dowiedział się, że Ukraińcy ewangelicy mieszkają w wielkiej liczbie w północnej Ameryce, a w szczególności w Kanadzie. I kto wie, czy by mimo wszystko pokusił się o jakąkolwiek akcję, gdyby nie specjalna prośba przywódcy prezbyterian amerykańskich i przyjaciół Wilsona Dr. Beacha z Princetown. Oczywiście, że dr. Zöckler nie mógł odmówić idt. Rozczulająca skromność, conajmniej jak rozczulające jest przyznawanie się do słabej orientacji w stosunkach Kościoła ewangelickiego na świecie i w psychice najbliższych mu terenowo Ukraińców. Chciałoby się wręcz zapytać, jak to możliwe, by dostojnik Kościoła, popularny w wielu krajach protestanckich, był tak mało inteligentny i wykształcony. Nie zrobimy tego jednak, bo inteligencję dr. Zöcklera wyżej cenimy, niż jego obecne słowa.

Pierwszy kontakt z Ukraińcami, jakby wynikło z tych zapewnień nastąpi dopiero w kilka lat po wojnie i to przypadkowo. Ponieważ dr. Zöckler jest w tym wieku, w którym pamięć lubi już zawodzić, przypomnimy mu, że z Ukraińcami wszedł w kontakt znacznie wcześniej. Konkretnie znamy datę 1918, choć nie wykluczamy, że pierwsze rozmowy mogły się toczyć jeszcze wcześniej. W 1918 podczas istnienia tzw. Zachodniej Ukrainy dr. Zöckler kumał się z Ukraińcami i m. inn. prowadził z nimi długie rozmowy w sprawie paktu wyborczego do ukraińskiej Konstytuanty. Dr. Zöckler miał wtedy apetyt na trzy, względnie cztery mandaty dla Niemców, a nawet liczył się z ewentualnością piątego mandatu, gdyż wierzył, że „Westukraine" dostanie też Bukowinę i „Bezirk Sianik — Łemkiwszczyna". Dalej za zachód i na południe dr. Zöckler nie sięgał, ale czy ówczesne przewidywania dr. Zöcklera i marzenia są dowodem inteligencji i wykształcenia historycznego, wolimy ze względu na postać sędziwego wodza Niemców nie rozważać. Dodajmy, że w 1918 r. dr. Zöckler pisał o niemożności przeprowadzenia należytej agitacji przedwyborczej w następujących słowach:

„Taka agitacja (dla pozyskania wszystkich głosów niemieckich) jest teraz wykluczona i niestety należy wprost przeciwnie przyjąć, że obsadzenie części, a to tej właśnie części okręgu wyborczego lwowskiego, w którym Niemcy są szczególnie licznie reprezentowani, a mianowicie Lwowa-miasta, Gródka, Janowa (w oryginale Horodek, Janiw, przyp. aut.) przez Polaków i uciążliwa sytuacja, w jakiej znajdują się liczni Niemcy w powiatach, leżących w najściślejszej strefie wojennej, osłabienie niemieckiego samopoczucia, a w szczególności u Niemców-katolików, którzy we Lwowie i w powiecie gródeckim (w oryginale Horodok), jak wiadomo, obecnie pod najostrzejszym uciskiem (Druck) pozostają", obali te kalkulacje. Ciekawe tylko jaką świetną znajomość nazw ukraińskich i wydarzeń po obu frontach posiadał stanisławowski pastor...

Dr. Zöckler broni się przed zarzutem machiawellizmu, uczynionym mu za głośne popieranie hitleryzmu i występowanie po cichu przeciw hitleryzmowi, tym, że machiavellizm to walka o władzę, a tego rodzaju polityki w kościele ewangelickim w Małopolsce nie prowadzono. Ponieważ, weszliśmy na tory międzynarodowej współpracy dr. Zöcklera z wszystkimi czynnikami, które przeciw Polsce występują, spróbujmy dowiedzieć się, jak też dr. Zöckler zachował się przy wyborach sejmowych w 1922, pierwszych, jakie się odbyły na terenie Małopolski Wschodniej.

Czy może dr. Zöckler zabiegał wtedy o pakt z jakąś partią polską? NIE! A może zawarł pakt z Ukraińcami? I to nie! A nie zawarł paktu dlatego, ponieważ Ukraińcy zbojkotowali wówczas wybory. Dr. Zöckler uważał przeto za swój obowiązek wezwać Niemców małopolskich, aby się **powstrzymali od udziału w wyborach,** a to by nie drażnić Ukraińców. Dr. Zöckler widać ma zalety wiernego towarzysza w polityce. Dziwne to tylko, że dziś tak dokumentnie o swoich dawnych kontaktach z Ukraińcami, kontaktach zresztą natury zgoła nie religijnej, zapomniał.

Gdy jednak zarządzono wybory w 1928, sytuacja uległa zmianie. Dr. Zöckler wezwał Niemców do udziału w głosowaniu. A wiecie dlaczego? „Ukraińcy idą zdecydowanie do wyborów i wyzyskaliśmy tę okoliczność, aby zawrzeć z nimi układ wyborczy".

Jak wiadomo, rok 1928 był ostatnim rokiem niesławnej pamięci „18-tki" t. j. bloku mniejszościowego, do którego weszli Ukraińcy, Białorusini, Niemcy, Litwini i żydzi z Kongresówki, tzw. grynbaumowcy. Dr. Zöckler był entuzjastą tego marjażu, a w odezwie do Niemców pisało się „Kto odda swój głos na listę Nr. 1 ten wzmacnia wrogów niemczyzny... Odtrąca naszą dłoń i podaje ją Polakom. Przez to związuje się z Polakami nie tylko przeciw niemieckim braciom i siostrom, ale także przeciw Ukraińcom, Białorusinom, Żydom, i Litwinom". Jasno, otwarcie i bez ogródek. Wynika stąd, że obowiązkiem Niemców, mieszkających w Polsce, jest współdziałać z Ukraińcami, Białorusinami, Żydami i Litwinami i to współdziałać przeciw Polsce. Albowiem, „Niemcy, którzy namawiają do głosowania na listę nr. 1., zdradzają nasz naród i wprowadzają wrogie stosunki między wszystkie mniejszości w kraju, a w szczególności z Ukraińcami, wśród których żyjemy. Niemiec, który nie będzie głosował na listę nr. 18, musi być **napiętnowany jako wróg i zdrajca** swego własnego narodu".

Czy jednak sądzicie, że dr. Zöckler, broniący się przed zarzutem machiawellizmu) sam głosował? NIE! Nawet swemu otoczeniu nie pozwolił głosować. Wstrzymali się od udziału w akcie wyborczym. Czy może dlatego, że nie kochał Ukraińców? Nie! Tylko dlatego bo sztuką życiową dr. Zöcklera jest zawsze lawirować i nie dostarczać rządowi żadnych przeciw sobie argumentów. Zresztą, wybory z 1928 były pod wielu względami znamienne. Pewne koła niemieckie dążyły do kompromisu z BBWR, lecz dr. Zöckler wpływami swoimi plan ten udaremnił. Zöckler miał ochotę osobiście ubiegać się o mandat, ale naczelne władze Niemców w Poznańskim wyznaczyły jako kandydata niejakiego Langa, pochodzącego z Małopolski. Za ten mandat Niemcy zapłacili wtedy 64.000 dolarów. Niemcom zależało ogromnie na mandacie, aby wobec zagranicy szermować argumentem o Polsce jako państwie mniejszościowym. Ponieważ żydzi małopolscy do bloku z Ukraińcami przystąpić nie chcieli, „groziło", że w Małopolsce Wschodniej wystąpi nie blok mniejszościowy, ale tylko lista ukraińska. To chcieli Niemcy za wszelką cenę „z miłości do Polski" udaremnić. Rozbicia bloku dr. Zöckler nie mógł oczywiście wziąć na swoje czułe pastorskie sumienie.

Ciężkie chwile przeżywał dr. Zöckler w 1928 i oto jak postanowił odpowiedzieć kołom zbliżonym do BB i jak postąpić wobec Niemców z Poznańskiego i Rzeszy.

Blokowi Bezpartyjnemu wyjaśniło się: Projekt poparcia listy nr. 1 przez rzucenie na nią głosów wszystkich Niemców w Małopolsce przyjęliśmy jako zaszczytny dla nas dowód wielkiego zaufania, co cenić potrafimy. Niestety narada naszych mężów zaufania wykazała, że niepodobna dać gwarancji w imieniu wszystkich Niemców. Od czasów powstania Państwa Polskiego jesteśmy pozbawieni organizacji politycznej i dlatego utraciliśmy wpływ na rodaków, którzy mają najrozmaitsze poglądy. Wskutek wystawienia bez naszej wiedzy kandydata Niemca na liście mniejszościowej sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała.

Ogólnopolskiemu Niemieckiemu Komitetowi Wyborczemu powiedziało się, że wystawienie poza plecyma Niemców małopolskich kandydatury Langa naraziło Niemców na duże przykrości, gdyż nie chcą oni powiedzieć prawdy BB i nie mogą przyjąć ponętnej jego propozycji, ani jej stanowczo odrzucić. Lang uzyskał mandat. Sobie natomiast i zaufanym dr. Zöckler powiedział, że musi pamiętać o bogatej kieszeni Niemców z Rzeszy i nie narazić się Berlinowi, ale oficjalnie trzeba posłuszeństwo wobec Komitetu tłumaczyć solidarnością niemiecką i dobrem narodu niemieckiego. Ostrożność i mądrość (Weisheit), dwa ulubione zwroty dr. Zöcklera, padały wtedy niejednokrotnie przy licznych rozmowach i akcjach. Dewizą i wytyczną bardziej poufną dr. Zöcklera były wtedy, jak i w wielu innych wypadkach „W a s w i r d D e u t s c h l a n d s a g e n"?

Podczas wyborów w 1930 dr. Zöckler wyjechał do Niemiec. Widział, że o bloku z mniejszościami, czy choćby tylko z Ukraińcami niepolitycznie i niepopularnie było myśleć, więc na wszelki wypadek, aby sumienie mieć czyste, spędził krytyczny czas w Rzeszy.

I dlatego też pomny tych haseł dr. Zöckler uważał za stosowne na święta Bożego Narodzenia wysłać do Niemiec mnóstwo listów błagalnych po pieniądze. Listy były tego rodzaju, że ktoby na ich podstawie chciał sobie wyrobić zdanie o Polsce, musiałby dojść do przekonania, że ludzie konają tysiącami dziennie z głodu na ulicy.

Takie listy wysyła dr. Zöckler zagranicę. Czy nie jest to rozsiewanie o Państwie Polskiem zagranicą wieści przynoszących mu szkodę?

Z ŻYCIA GOSPODARCZEGO

Organizacja handlu na wsi a „Społem"

Spółdzielczość na wsi

Wszystkie kierunki spółdzielczości, propagowane po wsiach nie odpowiedziały zadaniu. Nie zdołały bowiem zorganizować wsi pod względem rolniczo-handlowym i przekonać wieśniaka, że stosując zasady handlu spółdzielczego produktami rolnymi lokalizuje zasięg pośrednictwa, uzyskuje lepsze warunki zbytu produktów rolnych, a równocześnie pomaga sobie i współmieszkańcom wsi, lepszą wywalczając dolę.

Dotychczasowa działalność organizacyj spółdzielczych na wsi spowodowała raczej niechęć do handlu spółdzielczego i poderwała zaufanie rolnika we własne siły.

Przyczyną tego, zresztą dość niezwykłego przejawu, stało się sklepikarstwo spółdzielcze, tak gęsto rozpowszechnione dzisiaj po wsiach.

Sklepiki takie, noszące niejednokrotnie szumne nazwy spółdzielni rolniczo-handlowych nie starają się, nawet w drobnej części, spełnić zadania, nakreślonego im przez organizatorów. Zamieniają się one w drobnych dostawców dla wsi piwa, mydełek, perfum i błyskotek, które powinny być ubocznie sprzedawane, poza podstawowymi działami handlu produktami rolnymi.

Polityka handlowa tych sklepików wiejskich jest wprost odwrotna w stosunku do działań rolniczo-handlowych, mających spełniać zadanie podniesienia gospodarczego wsi. Najlepszym tego dowodem są zamknięcia rachunkowe takich wiejskich placówek spółdzielczych. Zamknięcia te jaskrawo wyświetlają, że wieś zasypywana bywa artykułami dla wsi niejednokrotnie niepotrzebnymi z pominięciem podstawowych zasad wykupu od wsi możliwie największej ilości produktów rolnych, celem spieniężenia tychże na rynku miejskim lub w drodze umów, zawartych z większymi odbiorcami.

Sklepikarstwo spółdzielcze nie zwraca zupełnie uwagi na możliwość nawiązania kontaktu handlowego z rolnikami i przyuczenia ich, aby wszelkie produkty rolne, przeznaczone na sprzedaż zbywali za pośrednictwem organizacyj spółdzielczych. Natomiast cały wysiłek i obrotność handlową kładzie na zbyt takich artykułów, które dają możliwość utrzymania sklepu na pewnym poziomie i opłatę obsługi.

Prymityw taki jest w wielu wypadkach hamulcem handlu spółdzielczego na wsi. Staje się raczej punktem oparcia dla wielu miejskich ośrodków handlowych aniżeli pionierem działań spółdzielczo-rolniczych.

Takie zasady handlu spółdzielczego na wsi przejęły prawie wszystkie organizacje spółdzielcze, a co gorzej, starały się ogarnąć swoją działalnością możliwie szerokie kierunki pracy, wskutek czego uległy pewnemu zamętowi i nieporządkowi organizacyjnemu.

Produkty rolne tymczasem rozchodzą się po miastach, dostarczane wyłącznie przez pojedynczych rolników wzgl. pośredników, wyprzedzających orientacją handlową zarządy wiejskich sklepów spółdzielczych.

Rolnik omija takie spółdzielnie, a z najmniejszą nawet ilością produktów gospodarstwa rolnego udaje się na sprzedaż do miasta, trudząc przy tym siebie i siły pociągowe w tym przeświadczeniu, że lepiej sprzeda towar, bo miejscowa spółdzielnia nie daje mu gwarancji natychmiastowego kupna artykułu i zapłaty albo wręcz oświadcza, iż danego towaru nie potrzebuje.

Powyższe zagadnienie, spotęgowane jeszcze nieudolnym prowadzeniem sklepu spółdzielczego, brakiem solidności, nadmiarem kosztów handlowych, a bardzo często walką o wpływy w zarządach, odsuwa rolnika od pracy w spółdzielniach i zmusza go do czynienia obserwacyj, na których mógłby oprzeć swoje ustosunkowanie się do zagadnień spółdzielczych.

Rolnik staje się więc drobnym konsumentem towarów dostarczanych przez sklepy spółdzielcze, natomiast prawie nigdy nie występuje tu w charakterze producenta i dostawcy.

W takich warunkach pracy spółdzielczej trudno wymagać od rolnika, aby z trudem osiągniętą gotówkę lokował w udziałach nieproduktywnych sklepików spółdzielczych, niejednokrotnie dalekich mu duchem i zupełnie nie związanych z jego zawodem.

Wieś przyjmuje więc takie sklepy spółdzielcze jako konieczność i ustosunkowuje się do nich analogicznie jak do wszystkich innych sklepów, w których można się zaopatrywać w artykuły przeważnie sprzedawane w miastach.

Głoszenie samych haseł spółdzielczych na wsi nie wystarczy. Spółdzielnie muszą otrzymać właściwy kierunek handlowy i dążyć do nawiązania stosunków handlowych z każdym rolnikiem, który ma do sprzedania produkty rolnicze.

Opieranie spółdzielczości na zasadzie, że każdy rolnik powinien być udziałowcem, nie rozwiąże zadania, jak również nie rozwiąże zagadnienia handlu produktami rolnymi zakładanie sklepików spółdzielczych.

Zasady spółdzielcze wymagają solidarnego i masowego działania producentów, jeżeli idzie o podniesienie uporządkowanego zbytu produktami rolnymi. Idąc w tym kierunku, spółdzielczość na wsi powinna oprzeć się na ogniwach skupu produktów rolnych, nabiału, drobiu, nierogacizny i bydła ze ściśle rozgraniczonymi działami pracy.

Poszczególne ogniwa spółdzielcze powinny obejmować, jako podstawę handlu, jeden produkt rolny, a nie ogarniać wszystkich dziedzin rolniczo-handlowych, gdyż wielostronność powoduje niedostateczną znajomość przedsiębiorstwa i brak należytych kalkulacyj. Następuje wówczas zarzucenie właściwej polityki skupu i sprzedaży działu podstawowego na korzyść chwilowych wyników koniunktóry handlowej.

Rynek zbytu produktów rolnych powinien być punktem wyjścia przy wszelkich kalkulacjach handlowych spółdzielni wiejskich. Ale, o ten rynek zbytu muszą spółdzielnie zabiegać i prowadzić konsekwentną walkę, a uzyskawszy go, obsyłać towarem z uwzględnieniem gatunku i opakowania towaru, zgodnie z zapotrzebowaniem chwili wzgl. zawartymi umowami.

W tym kierunku nie wiele czynią spółdzielnie. Poprzestają na wtłaczaniu rolnikowi artykułów, zakupionych u miejskich hurtowników, zamiast naodwrót, starać się nawiązać stosunki handlowe z miastem i większymi odbiorcami, celem uzyskania możliwości, jak największego zbytu produktów rolnych.

W miastach nie widać prawie nigdzie zorganizowanych miejsc sprzedaży produktów rolnych, któreby ogniskowały dzisiejszy rozdrobniony handel, prowadzony przez jednostki wsi.

Spółdzielnie rolnicze nie starają się również opanować większych dostaw. Po prostu obawiają się odpowiedzialności umownej. Jest to wymowny znak słabości organizacyjnej ruchu spółdzielczego, brak sprężystego i odpowiedzialnego kierownictwa na szerszym polu działania, jak również brak należytej łączności handlowej pomiędzy rolnikiem a spółdzielniami.

Narzucanie więc jakichkolwiek form spółdzielczych wsi, idących po linii wewnętrznego, a nie zewnętrznego handlu produktami rolnymi nie osiągnie właściwego celu. Wytworzy natomiast niepożądaną walkę konkurencyjną o wpływy na terenie wiejskim i może doprowadzić do zniszczenia dotychczasowego stanu posiadania.

A, że dotychczasowy stan posiadania spółdzielczości na wsi nie jest zbytnio wielki, świadczy o tym fakt, że pomimo rozwoju spółdzielczości nie zdołano jeszcze wyeliminować prywatnego pośrednictwa, działającego poza spółdzielniami przy obrotach handlowych produktami rolnymi.

Prywatne pośrednictwo natomiast wykorzystuje rolnika, reguluje ceny produktów rolnych według korzyści osobistych i obsadza rynek zbytu, strzegąc go wszelkimi, przystępnymi w walce handlowej sposobami.

Dlatego też kierunki rolniczo-handlowe nie mogą się licytować na terenie spółdzielczości, raczej powinny współdziałać, obejmując uzgodnione odcinki pracy spółdzielczej celem oparcia swej działalności na pewnych i dobrze zorganizowanych zasadach zbytu produktów rolnych.

T. OBALT

Problem przeludnienia wsi

Poruszanie kwestii przeludnienia agrarnego Polski i dowodzenie, że w Polsce jako kraju rolniczym zagadnienie ustroju i struktury agrarnej wysuwa się na plan pierwszy, wydawaćby się mogło przysłowiowym wyważaniem drzwi otwartych. A jednak mimo wszystko co na ten temat robi się, mówi i pisze zjawisko przeludnienia nie przestaje być zjawiskiem pierwszoplanowym, zarówno z socjalnego, jak i materialnego stanowiska.

Zadaniem niniejszego artykułu jest naświetlenie w ogólnych rzutach stosunków ludnościowych wsi polskiej; przede wszystkim wsi małopolskiej, której warunki agrarne i demograficzne są niewątpliwie w stanie chorobowym.

W zestawieniu procentowym ustrój agrarny Polski w porównaniu z innymi krajami przedstawia się w sposób następujący:

KRAJ	Gospodarstwa rolne o powierzchni w *ha*				
	do 5 *ha*	5 — 10 *ha*	10 — 20 *ha*	20—100 *ha*	powyżej 100 *ha*
Polska	71·6 %	16 %	10 %	1·8 %	0·5 %
Czechosłowacja	54·6 %	21·8 %	23·3 %		0·3 %
Niemcy	57·4 %	20·6 %	13·8 %	7·6 %	0·6 %
Szwecja	55·4 %	22·4 %	13·9 %	7·7 %	0·6 %

Podobnie jak w Czechosłowacji i Szwecji przedstawiają się stosunki w większości państw Europy. Z tablicy widocznym jest, że Polska posiada największy procent gospodarstw małych, najmniej średnich. Stosunek ten w sposób jaskrawo nienaturalny występuje w Małopolsce środkowej i zachodniej, gdzie procent niewystarczalnych i małych gospodarstw wiejskich wzrasta w niektórych powiatach do 75.

W najściślejszym związku z dużą ilością gospodarstw karłowatych, pozostaje zagadnienie ludnościowego zagęszczenia wsi, stanowiące ujemną pozycję w naszych wewnętrznych stosunkach społeczno-politycznych i gospodarczych. Przyczyny tego niepomyślnego stanu rzeczy tkwią głęboko w naszej przeszłości sięgając ery Józefińskiej i okresu rabacji chłopskiej. Mimo jednak zadawnienia, musimy zdobyć się na uleczenie zestarzałej choroby.

Z pośród sposobów prowadzących do rozwiązania zagadnienia, a w każdym razie do jego złagodzenia wymienić należy reformę rolną, podniesienie oświaty elementarnej i rolniczo-fachowej wsi, komasację, intensyfikację uprawy, meloracje oraz jedynie trwale skuteczny środek: urbanizację i uprzemysłowienie kraju.

Najradykalniej przeprowadzona reforma rolna nie rozwiąże niestety zagadnienia, za małym bowiem rozporządzamy aretałem ziemi, ażeby obdzielić nią wszystkich bez- i małorolnych chłopów, ponadto parcelowanie wielkich warsztatów rolnych na Wschodzie, może okazać się równoznacznym ze wzmocnieniem elementów obcych, w szczególności elementu ukraińskiego, nie wydaje nam się bowiem możliwe oddanie całej ziemi na wschodnich kresach wyłącznie bezrolnemu chłopu, pochodzącemu z okolic całkowicie polskich. Mimo to jednak, parcelacji nie należy zaniechać, w miarę jednak zmniejszania się zapasu ziemi winna ona stać się raczej instrumentem polityki wojskowej aniżeli czysto agrarnej.

Punktem wyjścia rozważań naszych, winno być porównanie wydajności jednostki powierzchni ziemi w Polsce i krajach zachodnio-europejskich. — Wszakże rolnik niemiecki, czeski, czy austriacki z tego samego obszaru ziemi, zbiera dwa a niekiedy trzy razy większe plony zbóż, aniżeli rolnik polski, posiada lepszy inwentarz żywy, drób bardziej jajonośny aniżeli rolnik polski, inaczej on mieszka, inne są jego zabudowania gospodarcze, inny, jakżeż wydatny udział w ogólnym spożyciu i produkcji.

Bezpośrednią przyczyną tego niepomyślnego stanu rzeczy jest niska, niemal prymitywna, w porównaniu z Zachodem Europy, technika produkcji rolnej i o wiele za niski poziom oświaty elementarnej, skutkiem czego uprawa jest niewystarczająca, zachwaszczenie pól bardzo wydatne, budynki mieszkalne i dla zwierząt niehigieniczne, tym gorsze, im o mniejsze gospodarstwo chodzi, a sam chłop konserwatywny, nieufny, niechętny postępowi...

Tę ciemną plamę naszego rolnictwa wymazać może przede wszystkim oświata. Podniesienie jej do poziomu wiejskiej oświaty n. p. niemieckiej, może stać się rzetelną i trwałą dźwignią poprawy stosunków na wsi polskiej. Niestety środek ten działa skutecznie dopiero po upływie sporego kawału czasu, a uwzględnić przy tym trzeba małe możliwości budżetowe rządu i samorządów, hamujące rozwój akcji oświatowej. Ostatni kryzys ekonomiczny, który w bogatych okolicach Polski zahamował budowę szkół, w okolicach biednych gmin wiejskich wywołał całkowity zastój. A dodać należy, że nawet tam, gdzie deficyt szkolny nie jest oficjalnie notowany, nauka stoi na granicy fikcji, skoro liczba dzieci przypadająca na 1 nauczyciela przekracza nierzadko 100 uczniów.

A nie można nie zaznaczyć, że niska kultura upraw, wynikająca z niebywale niskiej oświaty elementarnej, czyni z okolic o niezbyt wysokiej gęstości zaludnienia, okolice przeludnione, z gospodarstw, które na zachodzie byłyby wystarczalne, gospodarstwa niewystarczalne, deficytowe.

Odrębne zagadnienie stanowi komasacja. Jakżeż bowiem chłop polski może prowadzić racjonalne gospodarstwo na szachownicy przy niejednokrotnie b. dużym rozrzucie parcel. Szachownica należy do nieszczęść wsi polskiej, nie pozwala na planowość gospodarki, płodozmienność jest niewysychającym źródłem zatargów i procesów i wykazuje stałą tendencję do dalszego dzielenia. Komasacja, która tu wydaje się środkiem skutecznym, jest niestety b. kosztowna, ponadto w żadnej wsi nie usunęła ona całkowicie szachownicy; cóż wreszcie po idealnie nawet przeprowadzonej komasacji, jeśli chłop otrzyma 1 ha ziemi? Jedynym praktycznym skutkiem komasacji byłaby niepodzielność scalonego gospodarstwa, oraz w konsekwencji to, że następne pokolenie będzie musiało ze wsi wyemigrować.

Podobnie roboty melioracyjne, które powinny być punktem ambicji każdego ministra rolnictwa. W szczególności na ziemiach zawilgoconych już na pierwszy rzut oka uderza różnica między obszarami zmeliorowanymi a niezmeliorowanymi, różnica wyrażająca się w mniejszym zachwaszczeniu pól, lepszym wyglądzie inwentarza, w uprawie roślin dawniej nieuprawianych. Niestety, roboty melioracyjne skutkiem wielkiej kosztowności nie mogą być prowadzone w silnym tempie, a ponadto wywołują zwiększony popyt na kapitał, podrażając warunki jego uzyskania.

Pozostaje do rozpatrzenia środek najważniejszy, jakim jest uprzemysłowienie kraju, przesuwając nadmiar ludności wiejskiej do miast, do przemysłu. Jeżeli chodzi o Małopolskę, a więc o prowincję najbardziej przeludnioną, budowa Okręgu Centralnego upoważnia nas do stawiania horoskopów pomyślnych. Budowanie fabryk, dróg, nowych osiedli i nowych linii kolejowych już dzisiaj powoduje przypływ ludności wiejskiej do miast w poszukiwaniu zarobku, przypływ na razie nieznaczny, niewątpliwie jednak posiadający silną dynamikę rozwojową — ponadto wzrost cen produktów rolnych w okręgu powoduje opłacalność produkcji rolnej, stając się automatycznie przedłużeniem i pogłębieniem fali koniunktury, pozwalającej chłopu na czynienie niezbędnych inwestycyj w jego gospodarstwie.

Pomnik Marszałka Piłsudskiego czy Łuk Triumfalny?

(wiś) Naczelny Komitet Uczczenia Pamięci Marszałka Piłsudskiego już od dłuższego czasu zajmuje się ustalaniem form, w jakich na wszystkich ziemiach Polski zostaną utrwalone ślady działań konspiracyjnych, bojów i osobistych przeżyć Komendanta, które w ciągu długich lat organizacyjnych trudów i walk były najsilniejszymi ogniwami, zespalającymi uczuciowo pokolenie niepodległościowców. We wszystkich miastach, w najmniejszych miasteczkach, osiedlach i zapadłych wioskach — wszędzie, gdzie choć raz gościł Piłsudski, gdzie rozegrała się jakaś akcja, skąd wyruszyła w bój jakaś kadra strzelecka, gdzie powstała i rozwijała się najmniejsza bodaj placówka ruchu wolnościowego, wszystkie te miejsca muszą być upamiętnione, muszą pozostać jako trwałe ślady minionych zmagań, jako realne znaki dziejowej roli Komendanta i Jego legionów w dziele odzyskania niepodległości. Dziś nie ma chyba miasta, gdzieby nie było placu lub ulicy Piłsudskiego, gdzieby nie było tablic upamiętniających historyczne daty wymarszów, nazwisk straconych lub poległych bojowców — dowodów ofiarnych poświęceń i łączności z ideą Piłsudskiego. Ale trzeba będzie wznieść jeszcze wiele pomników, wmurować tablic, ustawić wiele pamiątkowych kamieni, jeżeli nie zaginąć ma nic z tych wielkich dążeń, a obowiązek przekazania następnym pokoleniom śladów fragmentarycznych zrywów wolnościowych, ofiar i walk spełniony ma być rzetelnie.

Przypadające w bieżącym roku dwudziestolecie niepodległości będzie jednym z tych uroczystych obchodów, podczas których pamięć Piłsudskiego ożywa w społeczeństwie najsilniej, z wyrazistością najbardziej sugestywną w pomnikowych kształtach Komendanta i zwycięskiego Wodza. W tym roku jednak przejawi się to niewątpliwie bardziej spontanicznie, w skali przerastającej znacznie rozmiary corocznych obchodów niepodległościowych, konkretniej też skrystalizują się formy uczczenia Piłsudskiego, ostatnie bowiem dwadzieścia lat stanowi w naszej historii wielką datę.

Jest faktem, że nie wszędzie w jednakowych formach architektonicznych zostaną zrealizowane zamierzenia pomnikowe, ale nie ulega wątpliwości, że w większych ośrodkach muszą to być formy monumentalne. Dziś już między wielu miastami odczuwa się pewnego rodzaju rywalizację: kto lepiej, kto trwalej. Szczególnie tam, gdzie mieściły się główne ogniska walki, gdzie znajdują się największe skupiska elementu niepodległościowego i ciągle jeszcze najżywiej, najbardziej bezpośrednio odczuwana jest łączność z Piłsudskim, słowem, gdzie najsilniej przejawia się to wspólne emocjonalne — idea utrwalenia pamięci Piłsudskiego w kształtach monumentalnych dominuje przede wszystkim.

Zastanówmy się teraz jak jest we Lwowie. O udziale Lwowa w ogólnym ruchu niepodległościowym nie będziemy mówić: są to rzeczy zbyt znane. Przechodzimy od razu do sprawy budowy pomnika Piłsudskiego. Przy tym jednak mimo woli nasuwa się melancholijna refleksja: Lwów nie ma szczęścia do pomników. Na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat jest, — poza historią z pomnikiem Słowackiego, — jeden fakt, który świadczy o tym najlepiej: w dniu 14 października 1917 r. w parku jezuickim położony został kamień węgielny pod pomnik Kościuszki. Była to wielka uroczystość w setną rocznicę śmierci bohatera z pod Racławic. Ale kto wie, co się stało z projektem budowy tego pomnika? Wiadomo wprawdzie, że istniał komitet, że zebrano jakiś fundusz na budowę, ale dziś — cisza. Tylko grupa nielicznych wtajemniczonych wie, że że przed głównym frontem Uniwersytetu leży już przeszło dwadzieścia lat kamień węgielny.

Z wiadomości, błąkających się po szpaltach nie tylko lwowskich gazet odnosi sie wrażenie, że nie lepiej przedstawia się sprawa budowy pomnika Piłsudskiego. Raz dowiadujemy się, że zamiast pomnika Piłsudskiego powstać ma Muzeum walk o niepodległość, innym razem — że fundusz budowy pomnika przeznaczony będzie na wykończenie budowy Domu Żołnierza, a w końcu — że nie będzie ani pomnika Piłsudskiego, ani Muzeum walk o niepodległość, ale — Łuk Triumfalny.

To prawda: koncepja Łuku Triumfalnego ma urok pomysłów niepospolitych, jest oryginalna. Stanowi nawet w dużym stopniu zdumiewającą rewelację szczególnie na gruncie lwowskim, gdyż nie ma tu dalekich perspektyw, ani wielkich arterii, gdzie budowa Łuku Triumfalnego narzucała by się niejako samorzutnie. Są tylko dwie wątpliwości: czy koncepcja ta jest realna, a poza tym: czy realizacja tej koncepcji byłaby celowa.

Projekt przewiduje przecięcie ogrodu Kościuszki w taki sposób, aby uzyskać połączenie ul. Ossolińskich, przez ul. Słowackiego, do Krasickich. Arteria ta umożliwiałaby rozszerzenie ogrodu przed frontem gmachu Uniwersytetu, przy czym ul. Marszałkowska uległaby likwidacji, a zostałby jedynie wąski dojazd dla samochodów. Drugą aleję należałoby wyciąć od Uniwersytetu — w górę, w kierunku ul. Matejki. I tutaj dopiero na skrzyżowaniu tej alei z aleją między ulicami Ossolińskich—Krasickich stanąłby Łuk Triumfalny. Szczegółowy projekt Łuku musieliby, oczywiście, opracować architekci. Projekt ogólny przewiduje tylko, że po obu stronach Łuku zostałyby umieszczone płaskorzeźby Kościuszki i Piłsudskiego, a w części tylnej — tablice z historycznymi datami.

Z projektem tym łączy się ściśle sprawa defilad wojskowych. Chodzi mianowicie o to, że po zbudowaniu Łuku, mogłyby tu odbywać się defilady. Maszerujące od strony ul. Ossolińskich oddziały wojskowe mijałyby Łuk Triumfalny, który spełniałby rolę punktu centralnego, podobnie jak teraz pomnik Mickiewicza, po czym defilada rozwijałaby się w trzech kierunkach: w stronę pl. św. Jura, w dół — w stronę ul. Mickiewicza i w linii prostej — w kierunku Krasickich i Gródeckiej.

Wzniesienie Łuku Triumfalnego przyczyniłoby się do stworzenia z parku Kościuszki pewnego rodzaju panteonu narodowego. Dziś stoi tu osamotniony pomnik Gołuchowskiego. W przyszłości jednak, gdyby Łuk stworzył centrum tego panteonu, powstałby tu piękny ogród, podobny do krakowskiego ogrodu Jordana, ale oczywiście w lepszym od tamtego stylu, gdzie znalazłoby pomieszczenie kilka pomników historycznych postaci, zasłużonym w życiu politycznym i kulturalnym Lwowa, lub w ogóle — Polski.

Realizacja budowy Łuku, w pojęciu autora projektu, nie powinna natrafiać na żadne trudności, a zakończenie budowy mogłoby z powodzeniem nastąpić na uroczystości 600-lecia przyłączenia Ziemi Czerwieńskiej do Lwowa, a więc za dwa lata. Pieniądze są: wystarczyłoby połączyć fundusze na pomniki Piłsudskiego i Kościuszki. Warto przy tym wspomnieć, że kiedyś był już projekt, aby fundusz „kościuszkowski“ użyć na restaurację baszty prochowej, celem stworzenia w niej Muzeum Kościuszki, ale i ta koncepcja okazała się nierealna, gdyż muzea miejskie miały za mało zbiorów z okresu kościuszkowskiego.

Tak w ogólnych zarysach przedstawiają się plany Łuku Triumfalnego, powstałe po niepopularnych już pomysłach tworzenia Muzeum walk o niepodległość i kończenia Domu Żołnierza, zamiast budowy pomnika Piłsudskiego.

A teraz sprawa najważniejsza: co o tych wszystkich projektach myśli lwowski komitet budowy pomnika Marszałka? Wiadomo, że przed dwoma laty był ogłoszony konkurs, którego wynik okazał się wprawdzie nie zupełnie szczęśliwy, ale — dodatni. Pierwsza nagroda została przyznana inż. arch. Majerskiemu i Duchowiczowi, a następnie, w wyniku specjalnej uchwały miejskiej, ustalono miejsce pod budowę pomnika przy ul. Pełczyńskiej, jako najbardziej odpowiedniej pod względem architektonicznym i urbanistycznym. Ostatnio — właśnie w związku z przyjętym przez miasto projektem — rozpoczęto tam poważne roboty ziemne i regulację dzielnicy, w której stanąć ma monumentalny posąg Piłsudskiego. Plany są opracowane szczegółowo. Przed pomnikiem zostanie utworzony wspaniały plac, którego architektoniczne ramy stworzą projektowane gmachy sądów. Od pomnika przeprowadzona zostanie aleja aż do szkoły kadeckiej. A poza tym w krótce ma być rozpisany uzupełniający konkurs na pomnik.

A więc, mimo wszystko, budowa pomnika została rozpoczęta. Trudno więc zrozumieć stanowisko komitetu lwowskiego, jak gdyby aprobujące wersje o zamierzeniach realizowania projektów, które miałyby zastąpić zdecydowaną już budowę pomnika Józefa Piłsudskiego. Czy ma to świadczyć, że budowa pomnika Marszałka przedstawia się tak bardzo beznadziejnie, że jeszcze brane są pod uwagę inne koncepcje? Ta sprawa wymaga wyjaśnienia konkretnego. Jeżeli w dwudziestolecie niepodległości Lwów nie jest w stanie zdobyć sie na pomnikowe uczczenie pamięci Piłsudskiego, niech zdobędzie się chociaż na stanowczą decyzję.

—o—

Światła i cienie prasy w Polsce

W piątek 28 ub. m. odbyło się w Klubie dyskusyjnym przy Związku Legionistów we Lwowie kolejne zebranie, poświęcone problemowi prasy w Polsce. Po zagajeniu przez prezesa Klubu, mec. dra T. Dwernickiego, dłuższy, wysoce interesujący referat wygłosił **red. Janusz Laskownicki.** Referat ten w streszczeniu przedstawia się następująco:

Referent wychodzi z założenia, że każde czasopismo, czy to będzie dziennik, czy tygodnik lub miesięcznik, musi odpowiadać pewnym potrzebom istniejącym w społeczeństwie. Inaczej nie znajdzie warunków egzystencji. Faktem jest, że w Polsce na 2.576 czasopism co roku ⅓ część czasopism ginie, a w ich miejsce powstają nowe wydawnictwa. Są to wszystko próby zaszczepienia na nieurodzajnym gruncie pewnego typu czasopisma. Takim nieurodzajnym gruntem dla poważnego pisma porannego okazał się Lwów, gdzie wielokrotnie ponawiane próby w tym kierunku nie dały żadnych rezultatów. Twierdzenie, że każde czasopismo musi odpowiadać pewnym potrzebom, można jednak odwrócić a zarazem rozwinąć, mówiąc, że prasa jest taką, jakie jest społeczeństwo, jego poziom kulturalny i całokształt stosunków gospodarczych i politycznych. Jeżeli więc ktoś biada nad upadkiem czy też niskim poziomem prasy polskiej, musi uwzględnić przede wszystkim ten czynnik.

Społeczeństwo nasze jest ubogie, istnieje duży analfabetyzm a małe czytelnictwo, przy czym 70 proc. ludności stanowią chłopi. Wynikają z tego bardzo poważne dla prasy konsekwencje. Przede wszystkim nakłady pism są małe. Wedle statystyki z roku 1935, ogólny nakład dzienników nie przekraczał 2 miliony egzemplarzy dziennie. Podczas gdy w Stanach Zjednoczonych nakłady dzienne wynosiły 40 mil. egzemplarzy, w Anglii 30 mil., w Austrii 2—2.5 mil., w Szwajcarii półtora miliona, we Francji i Stanach Zjednoczonych są dzienniki o milionowych nakładach jak np. „Daily Herald" 2 milj. „Daily Express" 1,900.000, egz.. „Daily Mail" 1,750.000 i td. We Francji istnieją prowincjonalne dzienniki, o których mało się słyszy, dochodzące do 300 i więcej tysięcy egzemplarzy nakładów, jak np. „Nouvelist" Lyonie 320.000, „Ouest Eclair" w Rennes 258.000 egz. i td. To są cyfry o których w Polsce ani marzyć nie można. Najpoczytniejsze u nas dzienniki chwalą się nakładem do 100.000 egz., jednak cyfra ta jest bardzo wątpliwa. Takich dzienników jest zaledwie kilka. Drugą kategorię dzienników stanowią dzienniki popularne, wychodzące w Warszawie i na prowincji, których nakład wynosi 40—60.000 egz. Trzecią kategorię stanowią dzienniki o nakładzie do 30.000 egz. Tutaj należą rozmaite pisma lokalne i prawie wszystkie dzienniki polityczne z tym tylko, że nakłady tych ostatnich wynoszą częstokroć zaledwie kilkanaście tysięcy egzemplarzy, a w niektórych wypadkach spadają do kilka tysięcy egzemplarzy. To są właśnie te organy prasowe, które formują opinię polityczną w Polsce.

Statystyka wykazuje, że w Anglii kupuje dziennik więcej niż co drugi człowiek, w Szwajcarii prawie co drugi, w Stanach Zjednocz. co trzeci, w Austrii prawie co trzeci, w Niemczech prawie co trzeci. W Polsce co 16-ty. Ale na tym nie koniec. Równie ważnym źródłem utrzymania dziennikówn są ogłoszenia. Znawcy obliczają dochody rocznie prasy w Polsce z ogłoszeń na 15—18 milj. zł. Prawie taką samą kwotę, bo 40 milj. fr. otrzymuje każdy z wielkich dzienników paryskich sam dla siebie, a wpływy z ogłoszeń dzienników angielskich i amerykańskich są wielokrotnie jeszcze wyższe.

Kto te cyfry zrozumie, ten także pojmie skąd płyną wszystkie braki prasy polskiej i dlaczego musi się ona ograniczać do najniezbędniejszych tylko środków technicznych i informacyjnych, nie mając funduszów ani na utrzymanie własnych korespondentów zagranicą, na wysyłanie specjalnych sprawozdawców na widownię wielkich dziejowych wypadków i td. Praca dziennikarzy w Polsce jest niezmiernie ciężka. Redakcje pracują ograniczonym personelem, tak, że każdy współpracownik musi produkować materiał na codzienne zapełnienie dziennika, nie mając czasu na pogłębienie zagadnień, które znać powinien. W pracy tej rozdrabnia swoje zdolności, czy nawet talent. Dziennikarz — w odróżnieniu od stosunków z zagranicą — nie ma u nas wielkszych widoków. Stąd też dopływ do tego zawodu jest bardzo słaby ilościowo i jakościowo.

Jedyną pociechą w tej sytuacji mogą być nadzieje na przyszłość, no i fakt niewątpliwy, że prasa w Polsce, oddalona od wielkiej polityki międzynarodowej i od świata wielkich interesów, zachowała prowincjonalną prostotę i czystość obyczajów. Pod względem ideowym i moralnym przewyższa prasę wielu innych krajów. To też z prawdą premier Składkowski powiedział swego czasu w Sejmie: „Prasa w Polsce jest wyjątkowo uczciwa. Nigdy nie poddaje się wpływom obcym, nie pracuje za obce pieniądze, pracuje napewno — według swego rozumienia — dla polskiej racji stanu".

Jeżeli chodzi o polityczną rolę prasy ,to musi ona być przede wszystkim pewnego rodzaju sejsmografem, notującym wszystkie drgnienia i wstrząsy w życiu politycznym. Ale ten sejsmograf nie tylko notuje, ale również zawczasu ostrzega o niebezpieczeństwie, czy to będzie chodziło o nastroje mas, czy pewne niedociągnięcia w administracji państwowej, sadownictwie, gospodarce i tp. Niestety znaleźli się w dzisiejszych czasach majstrowie, którzy dopóty przy tym sejsmografie manipulowali, aż go zmienili na fortepian. Tak określił prasę niemiecką Göbbels, chwaląc się, że można na niej grać jak na fortepianie. Oczywista, w tych warunkach prasa przestaje spełniać jedno z najistotniejszych swoich zadań i staje się wyłącznie tylko narzędziem propagandy. Może zresztą istnieją społeczeństwa, którym potrzebniejszy jest fortepian niż sejsmograf. Może dobrze z tym Niemcom i Włochom. Ale dzisiaj przecież głosi się u nas w polityce zasadę, że czy to chodzi o kwestie ustrojowe, czy o konstytucję, czy o inne zasadnicze zagadnienia, każdy naród musi szukać własnego rozwiązania problemów, zgodnego z jego charakterem i warunkami, w jakich żyje. Tę mądrość polityczną powinno się zastosować także do prasy. A wówczas wątpliwe, aby znalazło się dużo u nas przeciwników wolności słowa. Nawet bez zglejchszaltowania prasy, bez specjalnych represyj i bez drakońskich metod można w drodze normalnych a rozumnych ustaw pohamować nadużycie słowa. Jak na razie, w Polsce stosunek czynników decydujących do prasy ulega ogromnym wahaniom. Raz zaznacza się kurs ostrzejszy, raz łagodniejszy. W pewnym okresie bierze górę tendencja do ograniczenia wolności prasy, potem znowu nastroje liberalniejsze. Zależy to wszystko od chwilowej koniunktury, a więc przede wszystkim od osoby premiera i kierunku jego rządu, ale nawet w czasie urzędowania tego samego premiera zachodzą bardzo daleko idące różnice. Dwa błędy jednak stale się powtarzają. Pierwszy z nich to brak zrozumienia dla prasy, co uwidacznia się w złym sposobie informowania. Niektóre organy państwowe — jak się wyraził poseł Walewski w Sejmie — traktują prasę jako dopust boży. Drugim zasadniczym błędem w stosunkach między czynnikami decydującymi a prasą jest zbytnia wrażliwość na krytykę i czasami przesadna ocena następstw, jakie wywołać może pojawienie się danej wiadomości w prasie. Zdarzają się okresy, jak to podniósł poseł Wojciechowski — w których dzienniki są tak zdezorientowane i zastraszone, że w końcu nikt nie wie, co można dać do druku. W surowości cenzury Lwów do niedawna przodował. Nawet przedruki w pewnych kwestiach były wzbronione. Ostatnio nastąpiło wyrównanie pod względem ostrości cenzury w całej Polsce. Centrala w Warszawie daje cenzorom instrukcje. Tylko, że znowu jeden cenzor rozumie okólnik łagodniej, inny ostrzej. Niektóre władze prowincjonalne, chcąc być jak najbardziej służbiste, posuwają się dalej niż zamierzenia centrali. Walka z surową cenzurą, będąca bezwzględnym obowiązkiem dziennikarza, stojącego na straży wolności słowa, jest tym bardziej utrudniona, że cenzor nie ponosi żadnej odpowiedzialności za swe błędy. A Skarb Państwa odpowiada tylko w minimalnym stopniu w stosunku do strat za szkody poniesione przez dziennik, w wypadku nieuzasadnionej konfiskaty. To stwarza podłoże do konfiskat, często niezbyt przemyślanych.

Na tle tych stosunków od czasu do czasu ujawniają się wśród pewnych czynników marzenia o „prasie idealnej". W takim okresie utrudnia się żywot prasie niepożądanej, przy czym często za niepożądaną uważa się nie tylko pracę opozycyjną, ale również i sprzyjającą rządowi, o ile w pewnych punktach ustosunkowuje się ona rzeczowo i krytycznie. To też częstokroć najwięcej walorów, w oczach zwłaszcza prowincjonalnych dygnitarzy, posiada nie ten dziennikarz, który chce pracować zgodnie ze swym sumieniem dla dobra państwa, ale ten, który do wszystkiego jest gotowy.

Z kolei referent omawia eksperymenty podejmowane w kierunku wydawania t. zw. dzienników subwencjonowanych. Polityka tego rodzaju była fatalna. Koszty takich dzienników w Wilnie wynosiły pół miliona złotych, we Lwowie około miliona złotych, a jeden dziennik po drugim upadał z braku czytelników. Poza tym dzienniki tego rodzaju są często nadużywane do rozmaitych akcyj, rzucających mimo wszystko pewien cień na władze, chociażby one za to bezpośrednio nie ponosiły odpowiedzialności.

*

W swym koreferacie mec. dr Dwernicki zwrócił uwagę na stan prawny, istniejący u nas w dziedzinie prasowej, podkreślając ujemne skutki, jakie wywołuje brak jednolitej ustawy i posługiwanie się z konieczności przestarzałymi ustawami państw zaborczych.

W dyskusji, jaka się następnie rozwinęła, zabierali głos pp. dr. Locker, dr. Chan, p. Masłowski i p. Kapuściński, przy czym główną uwagę poświęcono zagadnieniu cenzury, konfiskat, ochrony czci, oraz granicy wolności słowa. Na zakończenie odpowiedział red. Janusz Laskownicki. Zebranie należało do najbardziej interesujących, dzięki referentowi i wysokiemu poziomowi dyskusji .

Dlaczego bez numerka?

Ukrytą potęgą w każdym dzienniku jest administracja. Choć czytelnik wie o niej niewiele, to nie ma bodaj dziennika, w którym by administracja nie dostarczała codziennie znacznej części materiału. Artykuły administracji, zwane ogłoszeniami, wędrowały dawniej na ostatnią stronę, dziś jednak nie ma miejsca, któregoby administracja nie mogła zastrzec dla siebie. Wszystko zależy od taryfy, którą opłaca nadawca ogłoszenia. Ponieważ przekonano się, że wielu czytelników pomija ogłoszenia, zaczęto zamieszczać je w formie notatek, pozornie redakcyjnych. Ostrzeżeniem dla czytelnika jest zazwyczaj tylko gwiazdka, czy inny znak na początku artykułu - ogłoszenia, zaś na miejscu widocznym zamieszcza się uwagę, że „wszystkie artykuły, zaopatrzone w gwiazdkę (czy inny znak) nie pochodzą od redakcji". Dla ścisłości zaznaczyć należy, że w I. K. C. artykuły, płatne jako ogłoszenia zawierają na początku litery „(na)". Nie informuje wprawdzie o tym redakcja w gazecie, ale dłuższa obserwacja i studiowanie znaczenia poszczególnych znaków na początku różnych wiadomości, może na to odkrycie łatwo naprowadzić.

Wróćmy jednak do przywilejów administracji. „Artykuły" jej muszą się zawsze ukazywać w dniach wyznaczonych i miejscach zastrzeżonych, choćby tego dnia cały świat miał się walić, a materiału aktualnego było wyjątkowo dużo. Materiał administracji ma pierwszeństwo. Redaktorowi w takich sprawach głosu zabierać nie wolno.

Tak samo i korektor jest wobec administracji bezradny. Obowiązkiem jego jest wiernie się trzymać tekstu ogłoszeń i dlatego tyle potwornych kuriozów ukazuje się wśród ogłoszeń. Korektor we własnym interesie nie chce pytaniami drażnić administracji, że przyjmuje teksty po chińsku pisane, a redaktora dział ten nie obchodzi. Stąd też notatki płatne, choćby bez numerków, łatwo wpadają w oczy właśnie przez nieumiejętną stylizację i fatalną polszczyznę będącą bardzo często, zwłaszcza gdy chodzi o ogłoszenia wielkich koncernów światowych, wiernym i stąd nieudolnym przekładem tekstu obcojęzycznego na polski, albo też tekstem nadesłanym wprost z centrali zagranicznej. Im gorsza polszczyzna, tym większa gwarancja, że artykuł o posmaku ogłoszenia istotnie jest płatnym materiałem, a nie materiałem redakcyjnym.

Dla uzupełnienia obrazu mocy administracji dodajmy, że może ona stale dysponować, by pewne wiado-

mości, czy fotografie tłoczono drukiem dwubarwnym, zależy to bowiem każdorazowo od umowy z płacącą za ogłoszenie instytucją. W części redakcyjnej natomiast druk kolorowy pojawia się z reguły tylko w numerach świątecznych czy niedzielnych, względnie, gdy dzieje się coś nadzwyczajnego w dziedzinie aktualnej polityki. Ten ostatni wypadek stanowi bardzo rzadkie zjawisko.

Uwagi te nasunęły się nam przy czytaniu numeru sobotniego I. K. C. z datą 30 stycznia. Był to dzień szabasowy, a więc nie świąteczny (dziennik krakowski jest antydatowany), a mimo to na str. 5tej zamieszczono odbitkę dwukolorowego afisza z napisem niemieckim, mającym ilustrować obszerny artykuł również pod **niemieckim** nagłówkiem „Bolschewismus ohne Maske" (ale bez cudzysłowu). Ponieważ wiadomo, że ogłoszenia koncernów zagranicznych pojawiają się niekiedy z tekstem częściowo w języku obcym, względnie z tytułem egzotycznym, szukamy numerka, lub znaku „(na)". Trud to daremny. Ale za to kolorowa odbitka i **styl** dziwnie obeznanego z gramatyką polską p. Józefa Jana Kobylańskiego nasuwają pewne refleksje.

Oto kilka cytatów:

...dr Józef Goebbels, minister uświadamiania narodu i propagandy.

...Niemcy antybolszewicką wystawę zorganizowali — zresztą całkiem słusznie — na tle krwawego i niszczycielskiego „uszczęśliwiania" narodu hiszpańskiego przez czerwonych zbirów drogą bezprzykładnego i dzikiego tępienia m o r d e m, g w a ł t e m, p o ż o g ą i k u l ą — ludzkiego sumienia - ducha, ciała i od nich pochodzących najszlachetniejszych tworów.

...Przechodząc te **ponure sale**, przesuwają się przed pałającymi oczyma jaskrawo zmontowane i uargumentowane działy...

...Nie potrzeba zgoła żadnego śledzenia, aby nawet człowiek stojący zdala od polityki światowej, nabrał po opuszczeniu tej wystawy niewzruszonego przekonania...

...I stąd ten nienotowany w dziejach świata **potop krwi człeczej...**

...Objektami specjalnego zainteresowania są kawałki chleba, z terenów głodu w Bolszewii. Czynnikami składowymi tego chleba, to: **plewa, nasienie chwastów i zmielona kora drzew.**

...Atmosfera **grobu**, śmiertelnej **udręki** i **trwogi** beznadziejnej otacza szklaną szafę, zawierającą bolszewickie narzędzia mordu: młoty do roztrzaskiwania głów ludzkich, łańcuchy do łamania kości, noże... granaty itp. nieme choć wymowne świadki rozdzierających tragedyj; gdyby tak przemówiły... (wszystkie podkreślenia i rozstrzelony druk podobnie jak w oryginale — przyp. red.).

Przedrukowaliśmy te wiele mówiące o genezie artykułu charakterystyczne wyjmki bez komentarza.

Uzupełniając wyjaśnienie dla tych, którzy tego arcyciekawego numeru IKC w ręku nie mieli, dodajmy, że, dziwnym zbiegiem okoliczności, na tejże samej stronicy piątej ukazały się same... ogłoszenia. Przez dwie szpalty **żydowska** firma Braci Safier zachęca do kupienia jeszcze dziś losu (numer ogłoszenia 534 k.), na jednej szpalcie ostrzega się **łysiejących**, że „Trylysin wypadanie włosów ustaje" (numer ogłoszenia 578 k.), zaś do **wszystkich** dzieci, „które nie zaznały nigdy głodu i biedy" zwraca się o datki „Biedny i chorowity Tadzio" (numer ogłoszenia 532k), a do **„litościwych Czytelników"** wyciąga rękę po datki „Niewidomy kaleka", który mimo „najskrajniejszej nędzy" znalazł widocznie pieniądze na zapłacenie w IKC ogłoszenia z numerkiem 560 k.

STANISŁAW SĘP

Fałszywe apostolstwo mecenasa Kowalskiego

Na Akademię Stronnictwa Narodowego w Sokole Macierzy we Lwowie, czekałem z niecierpliwością. Zapowiedziany był przecież przyjazd i przemówienie mecenasa Kowalskiego, prezesa Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego. Zapowiedź przemówienia zelektryzowała mnie najwięcej, podnieciła ciekawość a nawet przyznaję budziła niepokój, — co to dziać się będzie we Lwowie po takim przemówieniu. Przecież ma mówić szef stronnictwa, które pisze i mówi o sobie, że jest najsilniejsze w Polsce, następca Romana Dmowskiego, mówca nad mówcami, niczym Hitler lub Mussolini, a może nawet więcej, jak głosiła fama.

Przyszedł ten dzień oczekiwany, wkroczyłem do wypełnionej po brzegi sali Sokoła. — Pierwsze rzędy zajęli „Starsi Stronnictwa", widać było przeważnie emerytów i dużo starszych pań, po bokach młódź robotnicza z t. zw. „Pracy Polskiej", w centrum usadowili się stateczni mieszczanie, a w tyle młodzież wszechpolska obojga płci.

Akademia zapowiedziana była na 10.30. Prawie z godzinnym opóźnieniem, wśród okrzyków i podniesionych rąk wszedł na estradę mecenas Kowalski.

Wygląd zewnętrzny mecenasa Kowalskiego nie pociągnął mnie zbytnio ku niemu — a postać jego na tle pocztów sztandarowych nie robiła ani „wodzowego" ani nawet „szefowego" wrażenia. — Zdaje mi się, że większość ludzi na sali odczuła podobne do moich wrażenia, a może to tylko moje uprzedzenie. — Nie chcąc się temu poddawać, słuchałem uważnie Prof. Głąbińskiego, który w pełnych entuzjazmu słowach podnosił dotychczasową działalność mecenasa, a kiedy wspomniał, że Kowalski „podchodzi do braci pracującej z miłością", życzliwiej spojrzałem na postać szefa. Prof. Głąbiński w dalszym swoim przemówieniu, podkreślił, „iż naród Polski mimo ,że odzyskał od 20 lat niepodległość , nie osiągnął jeszcze prawdziwej niepodległości, gdyż nie zdołał stworzyć jednej wielkiej rodziny, opartej o wzajemną miłość, sprawiedliwość społeczną i zasady chrześcijańskie", a wprowadzenie tych wzniosłych zasad powierzono mecenasowi Kowalskiemu, nadając mu godność prezesa Stronnictwa.

Pomyślałem sobie, ha! może się mylę co do osoby Kowalskiego — nie powinno się sądzić z pierwszego wejrzenia — może mecenas Kowalski to nowy apostoł, może złotousty kaznodzieja, co mocą swego ducha i mocą wymowy tę sprawiedliwość społeczną, opartą o wielką miłość i zasady chrześcijańskie w czyn wprowadzać będzie — — — i znowu refleksje i przypomnienia, że w Łodzi inaczej bywało.... nie tak apostolsko.

Już z niecierpliwością czekałem na pierwsze jego słowa. Doczekałem się; — głos mecenasa niezbyt silny, dykcja wadliwa z powodu błędu w wymowie — to też już pierwsze jego słowa wywołały szmer zdziwienia a może i zawodu licznie zebranych słuchaczów. Prysły moje marzenia o wysłuchaniu pięknej mowy — dźwięk jej i ton nie pieszczą uszu, a siła jej nie rozpala krwi — nie budzi radości, wywołuje niechęć. Słucham już tylko dla treści — co powie wódz wielkiego stronnictwa — wódz, którego każde słowo powinno mieć siłę, moc przekonania, którego słowa powinny porywać nie demagogią, lecz głębią myśli, — którego zdania powinny zawierać realność planów i piękno celów, ku którym dąży; — wódz, którego pojawienie się zostało poprzedzone szumną reklamą „starszych ze Stronnictwa Narodowego".

Mam wrażenie że ci inteligentni starsi panowie narodowcy, którzy w drugim i trzecim rzędzie (po prawej stronie siedzieli) w czasie przemówienia swego prezesa raz po raz smutno ku sobie spoglądali, podzielali moje krytyczne zapatrywania.

Mec. Kowalski podkreślił destruktywną i demoralizującą robotę żydowską w sposób nie godny wielkiego wodza, a godny małego prowincjonalnego demagoga. Nie podał realnych planów uzdrowienia stosunków, nie wzbudził u słuchaczów samodzielności myślenia, lecz poszedł drogą najprostszą, utartych, wyświechtanych frazesów. Następnie rzucił się z furią na administrację państwową — poddał ją ostrej krytyce, powołał się na procesy starostów i stwierdził, że uzdrowić administrację polską można tylko przez zmianę systemu — a zmiana systemu musi dokonać się natychmiast, przez usunięcie ministrów „wszystkich od razu"! Wódz Kowalski podał procesy starostów w t. zw. „sosie odkrywczym" t. zn. dał do zrozumienia słuchaczom, że to on genialny adwokat - detektyw - amator odkrył te wszystkie nadużycia i kradzieże i że Stronnictwo Narodowe ma jedynie monopol na wykrywanie tego rodzaju przestępstw.

Ogłuszona krzykiem mówcy publiczność nie zdawała sobie i nie zdaje sprawy, że to właśnie atakowany rząd z tymi ministrami (których Kowalski chce wyrzucić wszystkich od razu) tępi nadużycia urzędników, winnych pociąga do odpowiedzialności i surowo karze. Że dzięki temu rządowi publiczność dowiaduje się o nadużyciach i o ukaraniu, wprost z ręki, bo z przebiegu procesów podawanych przez prasę. Gdyby ta publiczność chciała być bardziej samodzielna, nie potrzebowała by pośredników w rodzaju Kowalskiego, mogąc już za 5 groszy dowiedzieć się nie tylko o nadużyciach, o których mówił Kowalski, ale co ważniejsze o surowych wyrokach na sprawców tychże, o czym Kowalski już nie wspomniał. Wygodniej mu było wszystko negować i krytykować; — dopiero przy końcu swej mowy szef Kowalski wygłasza swoje credo — słowa stają się pełniejsze, akcenty silniejsze, — mecenas Kowalski zmienia się w apostoła i mówi „my chcemy mieć Polskę katolicką, nie tylko w naszych duszach i sercach ale w naszych urządzeniach. Jeżeli ustawy państwowe nie są wydawane w duchu katolickim, jeżeli nie po katolicku wydawane są fundusze państwowe, nie można mówić o moralności chrześcijańskiej — jest to moralność szatana".

Prezes Kowalski wygłoszonym, wyżej podanym zdaniem stwierdził ex cathedra, że potępia dotychczasowe metody Stronnictwa Narodowego i Młodzieży Wszechpolskiej, że metoda nienawiści, pałki i terroru to moralność szatana — a nie moralność chrześcijańska, ku której powinno się kroczyć i która jedynie jest w Polsce potrzebna.

Apostolstwo Kowalskiego nie trwało długo. „Wódz" przeraził się „apostoła" i przeraził tej drogi, po której nieliczni sprawiedliwi iść mogą, przeraził się własnych słów i jednym tchem chcąc wykreślić, wymazać i zatrzeć swoje chrześcijańskie myśli, krzyczał o zarzuceniu pętli — — — a zakończył chrapliwie, że jak przyjdzie w Polsce Hiszpania, „to my wszyscy pójdziemy na front" — to były jego ostatnie słowa na uroczystej akademii Stronnictwa Narodowego we Lwowie.

Człowiekowi, który myśli o bratobójczej walce, i który tej walce nie chce zapobiegać, lecz jej sprzyja — a nawet jako prezes Stronnictwa Narodowego wzywa do tej walki i pójścia na front, nie wolno mówić o moralności chrześcijańskiej — człowiek taki nie powinien reprezentować Stronnictwa Narodowego, którego członkowie katolicy - chrześcijanie zapewne nie podzielają zapatrywań swojego prezesa.

Sędziwy prof. Głąbiński mówiąc o stworzeniu jednej wielkiej rodziny, opartej o wzajemną miłość, sprawiedliwość społeczną i zasady chrześcijańskie, zapewne nawet nie przypuszczał, że mecenas Kowalski, na którego osobę, jak wspomniał w swym przemówieniu, zwróciło uwagę całe społeczeństwo narodowe i w dowód uznania i zaufania powierzyło mu godność prezesa Stronnictwa Narodowego, swoją lwowską mową, zaufanie to poderwie i przekreśli pokładane w nim nadzieje jako realizatora Polski Sprawiedliwej i Chrześcijańskiej.

Skończyła się akademia. Starsi panowie niezbyt gorąco oklaskiwali swojego prezesa — a ja rozczarowałem się do osoby mec. Kowalskiego i jako do wodza i jako do mówcy i jako apostoła.

Artykuł bez numerku pt. Bolschewismus ohne Maske nasuwa mimowoli na pamięć odważne i zrywające z obłudą artykuły „Wieku Nowego" pt. „Import obcego ducha. Czy istnieje totalistyczna międzynarodówka" i „Dwie miary. Czy komunizm jest gorszy od totalizmu". Z wnikliwych tych artykułów, pochodzących z 21 i 26 stycznia, zacytujemy kilka wyjątków. Oto co pisze „Wiek Nowy":

„Mimo, że zarówno faszyzm, jak narodowy socjalizm stale zastrzegają się, że nie są na eksport, faktycznie towar ten **jest eksportowany** w potężnych dawkach propagandy. Zagadnienie tego właśnie eksportu przedstawia się szczególnie interesująco w Polsce... POZA POLSKĄ W JAKIMŚ ZASOBNYM OŚRODKU DYSPOZYCYJNYM postanowiono, że wbrew wszystkiemu należy Polaków karmić tym produktem i wszczepiać go nieinaczej niż to ze swej strony robi Komintern z agitacją komunistyczną... Agencje totalistyczne w Polsce należą zupełnie do tej rodziny (tj. obcych agentur).

...Gdyby nasze władze **równą** wagę poświęcały importowi totalizmu i faszyzmu, z jaką śledzą i demaskują **import komunizmu** ...może wtedy wyjaśniłoby się, NA JAKICH PODSTAWACH EKONOMICZNYCH swój byt opierają pewne pisemka, szerzące małpi zachwyt dla hitleryzmu... dlaczego niektóre czasopisma w ciągu 24 godzin stały się entuzjastami najazdu włoskiego na Abisynię, dlaczego **zniekształcają** obraz wojny domowej w Hiszpanii, a nawet obraz wojny na Dalekim Wschodzie.

...Międzynarodówka totalistyczna — jak dotąd — ma w Polsce **nieograniczoną swobodę** działania... Propaganda faszystowska... UBIERA SIĘ W BARWY NARODOWE I PATRIOTYCZNE".

SPRAWY KULTURY

Muzeum teatralne we Lwowie

Powstaje we Lwowie — muzeum teatralne. Pierwsze w Polsce muzeum teatralne. Walor kulturalny tego faktu wybiega daleko poza granice lwowskiej prowincji teatralnej; rozważając go nawet na tle ogólniejszym, trzeba w nim dojrzeć i w pełni docenić — inicjatywę istotnie przełomową.

Sztuka i dzieje teatru w Polsce do dziś dnia czekające daremnie na planową i systematyczną archiwizację, do dziś uchodziły badawczej uwadze historyków i krytyków i płynne, niespisane i nieutrwalone z roku na rok nieuchronnie przepadały dla przyszłości. Ani na warsztacie krytyków i recenzentów teatru nie wykształciła się była dotąd właściwa metoda ujmowania i analizowania zjawisk teatru, ani jak dotąd nie okazano dostatecznej troskliwości dla tego wszystkiego, co te płynne dzieje teatru mogło jako tako utrwalić i przyszłości przekazać. Tak zagubiły się doszczętnie całe lata polskiej praktyki teatralnej, praca długich pokoleń aktorskich, tak zacierał się po teatrze wszelki widomy ślad. Dziś niepodobna prawie dokopać się do przedwcześnie zamierzchłych formacji dziejowych sceny polskiej, zrekonstruować odległe epoki teatru lwowskiego, czy warszawskiego, czy krakowskiego wskrzesić historycznie wielkie dzieła aktorskie, ludzi i dzieła, style i wartości.

Lata ostatnie już wyraźnie podejmują świadome próby ocalenia sztuki teatru. Już coraz częściej pokazują się mniej lub więcej udane monografie ważniejszych okresów czy ludzi teatru (Świerszczewski, Zawistowski, Horzyca, Tonecki), już coraz donioślej rozlegają się wołania o fachową ściśle rzeczową krytykę teatru (Brumer, Zawistowski, Terlecki), już nawet pojawiają się pierwsze, prawdziwie cenny próby dokładnego katalogowania i archiwizowania materiałów, dotyczących teatru. (Świetnie prowadzone „archiwum“ w redagowanej przez Zawistowskiego „Scenie polskiej“, 1924—26). Wszystkie te próby, zaledwie dorywcze i pobieżne, pierwsze, nie od razu pewne kroki polskiego teatroznawstwa, — potykać się musiały o dotkliwy brak materiału dokumentarnego, źródeł, archiwum zabytków.

W danej chwili powstanie muzeum teatralnego, na razie regionalnego, na razie uwzględniającego życie jednej prowincji teatralnej — może mieć dla polskiego teatralizmu głębokie, przełomowe znaczenie.

Inicjatywa stworzenia muzeum teatralnego wyszła z lwowskich kół uniwersyteckich, w pełni doceniona przez środowisko teatralne, i życzliwie poparta przez władze miejskie — wchodzi obecnie szybko w stadium realizacji. Około kwietnia bieżącego roku lwowskie muzeum teatralne oddane zostanie publiczności.

Właściwym inicjatorem muzeum lwowskiego jest prof. Kazimierz Kolbuszewski, który przed kilkoma miesiącami rozpoczął pierwsze, wstępne prace organizacyjne. Jeszcze wcześniej prof. Kolbuszewski wprowadzając do programu studiów polonistycznych na uniwersytecie lwowskim — na razie jeden wykład z zakresu teatru polskiego, pragnął wśród swoich słuchaczy i uczestników seminarium obudzić gorętsze zainteresowanie dla zagadnień teatrologicznych. Tam młodych polonistów, zdradzających żywsze zainteresowanie dla przedmiotu, sposobił do studiów archiwalnych w zakresie teatru, na seminariach rozdzielał tematy z zakresu historii sceny lwowskiej, przygotowywał do samodzielnych badań naukowych teatru. Ten młody narybek polonistyczny, zaprzągnięty do prac przygotowawczych w budowie muzeum — oddaje już teraz jego organizatorowi rzetelne i cenne usługi.

Plan muzeum, tak jak go dziś dość szczegółowo i wszechstronnie zakreślił prof. Kolbuszewski obejmować ma dwa działy: a r c h i w u m i m u z e u m.

Z b i o r y a r c h i w a l n e zgromadzą wszystkie ocalałe dotąd materiały i zabytki piśmiennicze, odnoszące się, do dziejów teatru, tam odnajdą się dokładne spisy zespołów aktorskich, chronologiczne kroniki repertuaru, recenzje, i wycinki prasowe, stare teksty i partytury reżyserskie, notatki i pamiętniki. Jednym z zadań, które należałoby tu odrobić — to przeszukać np. protokoły komisyj teatralnych w sejmie galicyjskim (które rzucą niewątpliwie nieco nowego światła na lwowskie boje teatralne Pawlikowskiego) itp. Według relacji dyr. Bernackiego materiały te odnajdą się w piwnicach Ossolineum. Wszystkie te zabytki, na razie rozproszone i nieskatalogowane, zostaną ze zbiorów dotychczasowych wydzielone i włączone do odpowiednich specjalnych działów archiwum.

Dział drugi, m u z e a l n y — objąć ma to wszystko, w czym wyraziła się praca wewnątrz teatru, żywa praktyka sceniczna. Odpowiednio skomponowane eksponaty pozwolą na odcyfrowanie wewnętrznego stylu danej epoki teatru lwowskiego, sposobu gry, metod reżyserskich, gatunków scenograficznych. Tu znajdą się przede wszystkim szkice dekoracji, plany reżyserskie, makiety, fotografie, kostiumy, peruki, meble, rekwizyty , pamiątki po aktorach itp.

Muzeum pomieści w sobie również z b i o r y b i b l i o t e c z n e, zgromadzi wszystkie pozycje bibliograficzne, odnoszące się do dziejów i zagadnień teatru lwowskiego. Przy muzeum zorganizowana zostanie p r a c o w n i a n a u k o w a i i n s t y t u t w y d a w n i c z y, który rozpocznie publikacje naukowych prac teatrologialnych, monografii aktorskich, zagadnień teoretycznych, a w pierwszym rzędzie zajmie się systematycznie — bibliografią teatru lwowskiego.

Tak najogólniej przedstawia się projekt muzeum, tu zgrubsza zarysowany, na razie surowy, jeszcze w niejednym punkcie proszący się o korektę, którą wprowadzi napewne sama praca realizatorska. Przecież już sam projekt, taki jak go na razie opracował prof. Kolbuszewski — pozwoli ocenić olbrzymią doniosłość nowej placówki kulturalnej Lwowa.

Sama idea muzeum odwołuje się przede wszystkim do zrozumienia całego społeczeństwa, które przez zasilanie go zbiorami prywatnymi, dostarczenie bezcennych nieraz materiałów, jak notatki, pamiętniki, naoczne obserwacje, może wydatnie współpracować nad stworzeniem tego doniosłego, i jakże potrzebnego warsztatu pracy naukowej nad zagadnieniem teatru w Polsce.

WILHELM KORABIOWSKI

Z niwy pedagogicznej

Ks. **Karol Banszel.** Zagadnienia wychowawcze. Warszawa 1937.

Społeczne wychowanie młodzieży nosi w naszych czasach mniej lub więcej wyraźne piętno panującego właśnie reżimu. Ze względów zasadniczych nie powinna ta cecha zbyt przytłaczać czynników natury ogólniejszej, jakimi są narodowe i ogólno ludzkie, czyli etyczne wartości wychowawcze.

Te zasadnicze czynniki uzupełniają się wzajemnie o tyle, że etyka ugruntowana w sercach i sumieniach obywateli jest zarazem jednym z głównych warunków pomyślnego rozwoju narodu.

Dobrze jest, jeżeli w dążeniach do wcielania w życie tych ideałów panuje właściwa harmonia.

Obu źródłom uczuć, dotyczących naszej kwestii t. j. umiłowaniu cnoty i narodu, zawdzięczamy lwią część mniejszych lub większych prac znanego kaznodziei lwowskiego, ks. Karola Banszela. Autor służy z zapałem szczerego patrioty zarówno słowem jak pismem najwyższej i najgłębszej prawdzie swych przekonań. Przeto z pism jego, choćby nie były nawet treści ściśle etycznej lecz historycznej, czy pedagogicznej, czy jakiejkolwiek innej, tchnie ten sam religijny i prawdziwie ludzki duch miłości, co z jego pięknych kazań.

Na wychowaniu młodzieży naszej ciąży jeszcze klątwa upadku moralnego, spowodowanego okropnościami wielkiej wojny. Brak natomiast młodemu pokoleniu wzniosłej idei (niepodległościowej), która przyświecała ich ojcom, niby jasna gwiazda, nad oparami przelewanej krwi.

W zrozumieniu doniosłości sprawy starają się władze szkolne zainteresować sprawą wychowania młodzieży jak najszersze warstwy jej rodziców i opiekunów. Terenem wzajemnego zbliżenia się zawodowych pedagogów i rodziców (lub opiekunów), bywają przeważnie posiedzenia utworzonych przy szkołach t. zw. „Kół rodzicielskich“. Nauczyciele lub inni członkowie Koła wygłaszają na nich referaty z dziedziny pedagogii lub dydaktyki, po czym następuje dyskusja ogólna, na omawiane tematy ze szczególnym uwzględnieniem stanu danej szkoły.

Podobnemu celowi popularyzacji kwestii pedagogicznych odpowiada w wysokiej mierze praca ks. K. Banszela p. t. „Zagadnienia wychowawcze“.

Powaga, z jaką autor przystępuje do przedmiotu badań wymagała wcale szczegółowych i mozolnych studiów. Tym bardziej zasługuje na uznanie lekkość i jasność, żywy i zajmujący sposób treściwego wykładu.

Na książeczkę składają się cztery obszerne artykuły: I. Zabawy dzieci, II. Instynkt, III. Dziedziczność, IV. Kłamstwo.

Wychodząc z poglądów uczonych obcych i naszych, dzieli się z nami autor własnymi zapatrywaniami, zdobytymi na podstawie studiów teoretycznych i bogatego doświadczenia.

Nie sposób w krótkim artykule dać dokładnego sprawozdania z tej bogatej w treści, choć rozmiarami szczupłej książeczki. Dodać jednak należałoby chyba, że praca zawdzięcza swoisty wdzięk przeważnie zaletom, wynikającym z osobistości autora. Czujemy, że zainteresowanie intelektualne wypływa tu z potrzeby serca, szczerze młodzieży odanego. Umiejąc patrzeć objektywnie na światła i cienie, znajduje zawsze w ojcowskim sercu dobrą, nieodłączną od głębokiej miłości, wyrozumiałość.

Czujemy, że spojrzenie badawcze i czułe zarazem sięga poza przedmiot właściwych studiów, że nabiera coraz większej powagi i obejmując dalszy horyzont, widzi w młodzieży: przyszłość narodu. Toż o nią walczył dawniej autor jako powstaniec śląski — zmieniwszy rodzaj broni, czyni to niestrudzenie dalej.

Z wymienionych względów życzymy książce, by znalazła jak najszersze koło czytelników ku jak największemu pożytkowi sprawy.

Zeter

Pomoc zimowa chroni tysiące rodzin
od m r o z u i g ł o d u

Tajemnica powodzenia faszyzmu

W dyskusji między zwolennikami a przeciwnikami totalizmu najpoważniejszym bodaj argumentem wielbicieli nowych prądów jest twierdzenie, że faszyzm utrzymuje się we Włoszech od 1922, daty marszu Mussoliniego na Rzym. Nie wchodząc w rozliczne i złożone powody trwałości zjawiska, któremu na imię faszyzm, postaram się ocenić je na podstawie powieści Ignazio Silone, wydanej ostatnio w języku polskim pt. „Chleb i wino“ (Warszawa, Rój, 1938). Z powieści tej wyjmę tylko charakterystykę stosunków społecznych we Włoszech w przededniu wybuchu wojny z Abisynią, a chociaż osobiście zwiedziłem w tym roku Włochy i wyniosłem stamtąd wrażenia odmienne od stereotypowych hymnów prasy faszystowskiej starać się będę możliwie operować tylko cytatami z książki tego Włocha, miłującego swój kraj i bolejącego mocno z powodu dzisiejszego jego stanu. Oczywiście, że Silone, jako patriota włoski, maluje rodaków swoich w barwach mimo wszystko ciepłych i serdecznych. Pisze bowiem o najbliższym mu społeczeństwie i stąd wiele uwag, z którymi krytyczny cudzoziemiec nie bardzo by się zgodził.

Po tej dygresji przechodzimy do referowania poglądów Włocha.

„Przeciętny młody Włoch widzi swój ideał w tym, żeby zostać kochankiem turystki amerykańskiej lub szwajcarskiej“ (str. 35). Oczywiście mowa o Włochu z miasta. Towarzystwo to tak wygląda: „Przed drzwiami oberży zjawiają się — jak codzień — nieroby i rozkładają się na krzesłach. Są tam ludzie starsi, niegoleni od tygodni, bez marynarek i w pantoflach, w niezapiętych spodniach i kołnierzykach. Wraz z nimi są i ludzie młodsi najprostszych zawodów, ale wyglądający jak fryzjerzy z mocno wypomadowaną czupryną i kantem od spodni bez zarzutu“.

Pewien sprytny Włoch, nie mający z czego żyć, zawarł nawet z towarzystwem osobliwą umowę. Jeden z nich miał napadać na turystki, a drugi miał zjawiać się jako wybawca. Obydwaj walczą w oczach cudzoziemek, które odwdzięczają się wybawcy obsypując go podarunkami i pieniędzmi, a także często względami, o których się nie mówi.

Ciekawie wypadł przegląd jakie kariery porobili wychowankowie pewnej szkoły. Jeden gra zawodowo przez 6 dni w tygodniu w „scopone“ podnosząc się od kart tylko poto, by pójść do domu matki na posiłki, niedzielę dla odmiany spędza przy bilardzie. Drugi — studiów nie skończył, założył sklepik spożywczy, ale zbankrutował i boi się wychodzić na ulicę, by nie spotkać wierzycieli. Trzeci zmarł na suchoty, zostawiając żonę i dwoje dzieci, czwarty jest marnym urzędniczyną podatkowym i choć intryguje i wszystkich denuncjuje nie może zrobić kariery, bo „góra“ pamięta o jego przeszłości socjalistycznej. Piątemu nie udało się jako adwokatowi, został więc podestą (burmistrzem) w biednej miejscowości, szósty, wydalony ze służby urzędnik kolejowy, rozpił się, płodzi co roku dziecko i po powrocie z pijatyk bije żonę i dzieci. Chyba wystarczy. Kariery dziewcząt są równie mało zazdrości godne i w równej niezgodzie z kodeksem moralności.

Popatrzmy jak wygląda wieś. Wydaje mi się, że jednym z przekleństw wrodzonych Włocha z południa jest nie tylko rozleniwiający klimat, ale... osioł. Pod każdą szerokością geograficzną przyroda jest pierwszą nauczycielką chłopa, a często nawet jedyną. Chłop włoski, cafoni, ma do czynienia z ociężałym, ale mimo to znoszącym wszelkie niewygody osłem. Osła wali się pięściami, nad osłem nikt się nie lituje, ale pokorny osioł wszystko znosi. Chłop nauczył się od osła m. in. cierpliwości i flegmy. Kto wie, może nawet małomówność chłopska też wynika ze zbyt długiego przebywania w towarzystwie tylko zwierząt.

Brudny jest cafoni, zabobonny, nieufny i niesympatyczny. Gdy zbierze się ich więcej w szynku, „cuchnie nawozem, brudnymi łachami, zapachem kozim i wyziewami, od których słabo się robi“. (str. 141). Dzieci rodzi się mnóstwo, ale śmiertelność ogromna. Lidovina urodziła 18 dzieci, z których żyje tylko dwoje! „Gromada półnagich, utytłanych w błocie dzieci bawi się nad kałużą, utworzoną przez odpływy ze studni“. Dzieci bawią się w ten sposób, że zawsze ktoś jest ich wrogiem.

„W czasie ćwiczeń dzielimy się na dwie partie — wyjaśnia jeden z chłopców. — Po jednej stronie jesteśmy my Włosi, po drugiej, wróg odwieczny. Dotychczas nauczycielka mówiła nam zawsze, kto jest wrogiem. Przez długi czas mówiła, że Francja i Jugosławia. Później powiedziała, że Niemcy. Później, że Japonia. Dziś rano rzekła: Dzieci nowym wrogiem jest teraz Anglia. Ale w podręczniku szkolnym znajduje się rozdział pt. „Odwieczna przyjaźń pomiędzy Anglią i Italią“. „I teraz nie rozumiemy już nic. Kto nie ma racji, nauczycielka czy podręcznik“ (str. 72—3). Z pytaniem tym dzieci przychodzą do bohatera powieści, bo same nie są zdolne orientować się jeszcze w zakamarkach ideologii faszystowskiego wychowania. Dodajmy, że pod koniec powieści nowym wrogiem są już Abisyńczycy i „zdarza się nieraz, że Afrykanie zmuszają Włochów do ucieczki ku przerażeniu i oburzeniu nauczycielki“.

Cafoni pracuje po 14 godzin dziennie, niezależnie od pogody, za 4 liry, a żyje samym chlebem i cebulą. Prowadzi bydlęcy tryb życia, by móc kupić kawałek gruntu. Ale wtedy powodzi mu się jeszcze gorzej. Klęski elementarne niszczą często plony tak, że drobni posiadacze są wtedy zupełnie zrujnowani. By spłacić podatek i przeżyć zimę sprzedaje grunt i zaczyna na nowo.

Żyję z kapitału — oświadcza — pewien zamożny chłop. Po 5000 lirów rocznie zjadam z pieniędzy, otrzymanych w posagu. „Mamy rząd, który twierdzi, że uratował porządek, ale nam przyniósł tylko bankructwo. Z roku na rok idzie gorzej... Ziemia nie daje już nic. Miasto zabiera wszystko. Mam stary dom, służący obecnie jako stajnia. Wynająłem go. Aby zalegalizować wynajem, musiałem zapłacić dosłownie sześć razy tyle, ile wynosi czynsz. Z wynajmem łączy się konieczność uiszczenia 14 różnych opłat... Za 40 lirów można mieć w mieście hl wina z Apulli, gdy nasze koszta produkcyjne przekraczają 100 lirów. Gdy się sprzedaje wino, trzeba zapłacić 85 lirów podatku spożywczego, tzn. dwa razy więcej, niż wynosi cena wina. (str. 121). Na produkty rolne wyznaczono ceny maksymalne i ceny spadły, ale na produkty miejskie nie wyznaczono cen maksymalnych i ceny poszły w górę *). Gdy Cafoni, usłyszawszy o cenach maksymalnych w mieście, chciał wrócić z towarem, aresztowano go za bunt. „Każde pokolenie miało swoją plagę... teraz mamy urzędniczą. Jako urzędnicy zjawiają się ludzie obcy, odgrywajacy rolę panów“. (str. 159).

Zapytajmy się zkolei, jaki jest stosunek do reżimu. Mówi o tym w chwili szczerości b. gwiazda socjalistyczna, prześcigająca — daremnie zresztą — w gorliwości kastę partyjną, adwokat Zabaglione:

„Prawda urzędowa brzmi następu-

*) A może Silone kłamie? Oddajmy więc głos PAT-owi, który w tygodniowym biuletynie gospodarczym przyniósł pod tytułem „DALSZA ZWYŻKA CEN WE WŁOSZECH” następujące wiadomości:

Mediolan, PAT. Pomimo wydanego przez włoskie ministerstwo korporacyj zarządzenia o stabilizacji cen na rynku wewnętrznym, ministerstwo to upoważniło ostatnio do podwyżki cen następujących artykułów: oleju, kawy palonej, węgla, drzewnego, drzewa opałowego, mieszanych tkanin i przędzy, złomu ołowianego, cynkowego i glinowego oraz półproduktów z ołowiu i cynku.

Depesza ta jest młodsza od czasu akcji powieści Silone'go o dwa lata. Proces ten, w przededniu wojny abisyńskiej rozpoczęty, rozwija się dalej.

OPŁATEK LWOWSKICH PEOWIAKÓW

Dnia 2 II. br. odbył się we Lwowie opłatek lwowskiego Koła Peowiaków, przy udziale przedstawicieli miejscowych władz oraz bratnich organizacji Związku Legionistów, Związku Obrońców Lwowa i Związku Strzeleckiego. Prezes Zarządu lwowskiego Koła P. O. W. wygłosił m. i. następujące przemówienie:

Panie Wojewodo, Wielebny Księże Pułkowniku, Szanowni Goście, Drodzy Obywatele Legioniści i Peowiacy!

Dzisiejsza tradycyjna, narodowa i żołnierska uroczystość daje nam Peowiakom, jako gospodarzom sposobność przywitać jak najserdeczniej naszych wielce Szanownych Gości, wypróbowanych Przyjaciół naszej organizacji. Daje nam sposobność złożyć im i sobie nawzajem jak najlepsze życzenia i daje nam sposobność wymiany myśli naczych i duchowego, ideowego pokrzepienia się do dalszej naszej pracy na przyszłość. Praca nasza dotychczasowa była istotnie taką, jaką ją określił Komendant, kiedy to 25 lipca 1915 r. rozkaz do P. O. W. wydany w Łączkach Lubelskich, rozpoczął następującymi słowy:

„Żołnierze, stoicie na posterunku najcięższym, jaki wypaść może polskiemu żołnierzowi. Bez błyskotek zewnętrznych, które daje wojsko, bez moralnej satysfakcji walki z wrogiem pierś w pierś i oko w oko, stoicie zagrożeni zewsząd przez niewidzialnego nieprzyjaciela, jak żołnierz postawiony na posterunku powszechnie uważanym za stracony.“

Nasza dzisiejsza sytuacja wydaje mi się bardzo podobną. Od pierwszej chwili naszego życia ideowego staliśmy na tym posterunku, pracowaliśmy jak nas tylko na to stać było — cicho, skromnie i bez rozgłosu. Często bywało, że różni ludzie na nasz rachunek i na rachunek naszych braci Legionistów prowadzili różne gry polityczne o bardzo wątpliwej wartości, gry, które nam z reguły nie przynosiły zaszczytu, inni znów w przeróżny niegodziwy sposób fałszowali naszą wspaniałą historię w celu pomniejszenia idei naszej. Centralne władze legionowe potrafiły się temu zdecydowanie przeciwstawić — my zaś Peowiacy, z różnych powodów, których tu nie chcę rozpatrywać, z powodów oczywiście nie zależnych od nas, od naszych dołów, od tych szarych żołnierzy, przemilczeliśmy, przetrwaliśmy, pracując cicho, każdy na swoim małym odcinku z ideą Komendanta w sercach naszych i jak stwierdził Pan Marszałek Śmigły-Rydz w swoim przemówieniu z okazji ostatniego zjazdu P. O. W. w Wilnie, „Odrobiliśmy dobry kawał żołnierskiej roboty“.

My nie potrzebowaliśmy i nie potrzebujemy deklamować komu Polska zawdzięcza niepodległość, my nie potrzebujemy udawadniać czym był dla Polski Czyn Sierpniowy Legionistów i czym była armia narodowa, jaką się stała P. O. W., my pracowaliśmy cicho i skromnie.

Z chwilą jednak kiedy konsolidacja narodu stała się tak ważną jak nigdy, stała się poprostu dla Polski warunkiem być albo nie być, stała się polską racją stanu, P. O. W. wyszła na powierzchnię życia narodowego, by wspólnie z naszymi starszymi braćmi Legionistami, odegrać decydującą rolę w realizacji tej polskiej racji stanu. A bez przesady i cienia jakiegokolwiek samochwalstwa lwowski obóz Legionowo-Peowiacki odegrał już w r. 1937 w tej dziedzinie wybitną rolę. Stał się on kuźnią myśli politycznej, inspirującej całą Polskę, myśli, która jest wspaniałym przedłużeniem idei Czynu 6 Sierpnia, przedłużeniem nieśmiertelnych myśli Komendanta, idei która stawia nas pod każdym względem wyżej od żołnierzy Napoleona, którzy po jego upadku załamali się. Myśmy wytrwali i wytrwamy, my bowiem nie czynimy tego ani dla zaszczytów, ni dla awansów, ni dla kariery. My wytrwamy, gdyż to jest nasza wiara. Jeżeli zaś trzeba będzie iść na front, to tym nam chyba nikt nie zaimponuje, a zwłaszcza ci, którzy gdy myśmy się krwawili w różny sposób i na różnych frontach o Polskę, oni na głębokich tyłach tworzyli „myśli polityczne“. Warunkiem tej naszej działalności na rok przyszły, działalności, którą musimy wzmocnić dla zrealizowania konsolidacji narodu i wzmocnienia tu w Małopolsce Wsch. polskiego stanu posiadania jest to, co powiedział Komendant, kończąc wymieniony na wstępie rozkaz do P. O. W. a mianowicie:

„Pracy, odwagi i spokoju“.

Jest nam to bardzo potrzebne, gdyż według mnie znajdujemy się w chwili dla nas przełomowej, są zgrzyty, ale tymi trudnościami nie damy się złamać.

Dlatego też przy dzisiejszej uroczystości wielce Szanowni Panowie i Kochani Towarzysze Broni, mam zaszczyt złożyć Wam w imieniu swoim i lwowskiego Koła P. O. W. jak najserdeczniejsze i jak najgoretsze życzenia, aby naród nasz zrozumiał, że do Polski mocarstwowej możemy dojść tylko w zgodzie, w pełnej poświęcenia i dyscypliny pracy narodowej wszystkich, tak wielkich jak i małych, w myśl wskazań Komendanta.

A droga do celu, — droga prosta, wielki słoneczny trakt prowadzi niewątpliwie przez dusze młodzieży, przez polską wieś i polskie osiedla robotnicze.

Tego Wam życząc, proszę, abyście tak jak kiedyś w walce do ostatniej kropli krwi ,tak teraz, do ostatniej kropli wina wychylili ten kielich na cześć I-go Strażnika testamentu Komendanta — Pana Prezydenta Rzplitej, Ignacego Mościckiego i Naszego Wodza, Marszałka Śmigłego-Rydza — niech żyją!

jąco: Tu panował bolszewizm. Zdeptano urzędową religię, moralność i własność prywatną. Potem przyszedł Etcetera-Etcetera (nazwiska Mussoliniego w powieści nie ma) i przywrócił religię, moralność i własność prywatną".

„Prawda obiektywna brzmi następująco: Panował tu głód i ciemnota. Biedacy zaczęli organizować się w związki. Przyszedł Etcetera-Etcetera i porozbijał związki, ale nia dał rady głodowi, który sroży się jeszcze bardziej niż dawniej"!

„Do jednego związkowca wtargnęła gromada „odnowicieli", związali go i zgwałcili w 22 osoby jego żonę... Podesta urzędowo — geniusz, de fakto — idiota". (str. 173).

Chłop z Pratoli ujmuje rzeczywistość bardziej lapidarnie: „Ci, co otwierali usta, mają je teraz zamknięte. Na cmentarzu, lub w więzieniu. Inni siedzieli dawniej cicho, a teraz jeszcze ciszej" (str. 284). Oto co mówi jeden z tej drugiej kategorii: „Karabinierzy? Ludzie wymyślają na nich, ale tylko przez zazdrość. Pracuje się tam mało, a zarabia dużo... Strzelać do niezadowolonych cafonich?... Dobra, robiłbym to, co i inni. Tymczasem i tak odrzucili moje podanie. Napływa ich widać za wiele". (str. 127).

Nieustraszony ksiądz Benedetto, zwabiony przez wiadome czynniki i otruty podczas odprawiania Mszy św. w sąsiedniej wiosce (scena wstrząsająca grozą), powiada do jednego ze swoich wychowanków, robiącego karierę jako oficer milicji: „Czym jest twój uniform dla biedaków, dla cafonich, pasterzy owiec, kiedy spotkawszy na samotnej drodze oficera milicji udają głuchoniemych, to jest jeszcze najmniejsza rzecz, na jaką możesz się uskarżać. Dni, w których uszy symulujących głuchotę się otworzą, a języki udających niemowy pójdą w ruch — będą strasznymi dniami i mogę ci tylko życzyć, żeby ci zostały zaoszczędzone" (str. 14).

Według relacji studenta rewolucjonisty i b. konfidenta, który zresztą umarł z tortur w więzieniu, sytuacja wygląda następująco: „Naokoło siebie wszędzie widziałem przejawy trwogi. Wiadomo jest, że w każdym oddziale każdej większej fabryki, w każdym banku, w każdym ważniejszym biurze władze mają swoich informatorów. Każdy dozorca jest z mocy prawa równocześnie informatorem władz. Niema zawodu, sfery, urzędu, w którym szereg osób nie stałoby w kontakcie z władzami, czy to z powodu nędznego wynagrodzenia, czy też dla kariery... Dyktatura polega jednak na przekształcaniu człowieka w zwierzę, które drży ze strachu i pod wpływem tego strachu nienawidzi swego sąsiada, szpieguje, zdradza, sprzedaje, a potem boi się zdemaskowania. Kto miał nieszczęście dać się raz shańbić jest skazany na to, że będzie potem musiał życzyć sobie dalszego trwania dyktatury. Ale żaden reżim nie był oparty w tak wielkim stopniu na korupcji obywateli najmniej odpornych, na strachu, jak reżim obecny. Organizacja, na której się opiera porządek obecny, jest w rzeczywistości tajne sprzymierzenie strachu". (str. 308)

Dochodzi do niewiarygodnych wręcz paradoksów. We Włoszech zakazuje się lektury pism... Mussoliniego. Oddajmy głos naczelnikowi policji: „Wśród młodzieży gotuje się. Pod pretekstem dyskusyj na temat systemu korporacyjnego wygłasza się takie przemówienia, że włosy stają dęba. Nowe pokolenie — dodaje aptekarz — wzięło dosłownie zdanie, że system korporacyjny oznacza kres kapitalizmu i chce zburzyć kapitalizm!... Przychodzą młodzi chłopcy — odpowiada naczelnik — zamawiając (w bibliotece komunalnej) zbiór pism szefa rządu i zaczynają krzyczeć: „Tam przecież jest napisane, że trzeba zniszczyć kościół, dynastię, kapitalizm"!

Moje mówienie nie potrafiło ich odwieść. Wreszcie musiałem — za zezwoleniem władz wyższych — usunąć te książki z biblioteki i zamknąć je na trzy spusty". „Za późno — kończy aptekarz — dowiedziałem się od syna, że wśród młodzieży kursują odpisy z tych książek, przepisane przez kogoś na maszynie" (str. 176—7).

A więc pisma szefa rządu lekturą nielegalną! Autor podaje też, że pewna grupa młodych wierzy, jakoby wódz przebywał w więzieniu, a w jego imieniu rządził tylko sobowtór.

Mimo wszystko jednak Cafoni jest bardzo lojalny. „Czy to potrzeba pytać nas o zdanie, zgadzamy się i tak zawsze bez pytania" — mówi delegat dzierżawców, którzy dostąpili zaszczytu, że włączono ich do wspólnej organizacji zawodowej z ziemianami, mianując prezesem ks. Torlonie, będącego w jednej osobie prezesem związku dzierżawców i właścicielem terenów dzierżawionych przez 10.000 dzierżawców, tzn. ich panem. „Za kogo mnie masz, wielmożny panie — mówi dzierżawca do prowadzącego obrady, którego prosi o zwolnienie z udziału w posiedzeniu. Tegoby jeszcze brakowało, żebym nie wyrażał swej zgody zgóry". (str. 149). Gdy jednak uchwalono wysłać depesze hołdownicze i przewodniczący zażądał od delegatów po 1.20 lira, wszyscy niemal chcieli „wyjść na potrzebę", ale drzwi zamknięto i zrewidowano delegatom kieszenie. To też nasz delegat wrzucił pieniądze za cholewę, a tam nie szukano (tak samo zresztą Włosi potrafią nie płacić za pijatyki, co Silone dwa razy opisuje).

Ugodowe swoje stanowisko delegat uzasadnia wobec bohatera powieści po chłopsku: „Czy jeśli pogoda lub deszcz pada, można się na to zgodzić, albo nie? Pada i nie ma o czym gadać. Deszcz jest faktem, a nie gadanina. Fakty są rodzaju męskiego, a gadanina — żeńskiego". (str. 151). Nic dziwnego, że „próby (bohatera) zbliżenia się z ludźmi (cafonimi) stanowiły szereg niepowiązanych epizodów... Stosunki między cafonimi okazały się kruche, niepewne, przelotne. Nie można było budować na nich. (str. 154). Cafoni, których się za propagandę aresztuje, są w więzieniu masakrowani. A gdy wybucha wojna, wysyła się samochody po chłopów, by przyjechali do miasta słuchać mowy Etcetery-Etcetery, ale dodaje się karabinierów, aby „ludność zrozumiała, że musi się zgłaszać żywiołowo". (str. 231).

„Mobilizacja obszarpańców i głodomorów pociągnęła za sobą w Fossie mobilizację bankrutów. Kierownicy banku miejscowego, którym groził proces z powodu oszukańczej upadłości, zgłosili się do Afryki na ochotnika. Ich przykład patriotyczny znalazł wszędzie naśladowców. Kupiec galanterii... który zamknął swój interes z powodu bankructwa, otworzył go tego ranka ponownie, usadowił w nim swoją żonę i przylepił na drzwiach kartkę z napisem: „Komunikuje się wierzycielom, że właściciel tego magazynu zaciągnął się do wojska jako ochotnik". I teraz żadne władze nie odważą się nakazać zajęcia towarów, należących do bohatera wojny imperialnej (str. 232). Aptekarz zrozpaczony jest zniknięciem swego syna, gdyż nie chce wykupić weksli. Jeśli go znajdę, a nie zaciągnie się natychmiast do wojska, zastrzelę go" (str. 232—3). Syn dobrowolnie się zaciągnął. Lepiej bowiem być bohaterem-ochotnikiem, niż czekać na „asenterunek".

Autor zastanawia się też, czy Włoch nie myśli. I tu wyrywają mu się takie zdania: „W kraju propagandy wszystko wygłasza się bezapelacyjnie. Biedota czuje się podczas przemówień po wypowiedzeniu wojny, jak ryby w sieci. Co tu do zrozumienia? Sieć jest faktem. Dla schwytanych ryb jest to rzeczywistość, jedyna realna rzeczywistość. Nad tym, czy propaganda jest słuszna, czy też nie, mogą się zastanawiać tylko ludzie, którzy mają sporo czasu. Dla biednego cafoni rzeczy te są już z góry takie, a nie inne. (str. 242). Gdy sąsiad podniesie rękę w ukłonie rzymskim, to każdy podniesie dwie, żeby nie dać się ubiec. Gdy sąsiad wzniesie okrzyk, każdy mu zawtóruje... Każdy szuka jakiejś protekcji i to tylko jest ważne. A zrozumienie treści propagandy jest sprawą drugorzędną, bez względu na to, jaka to treść. Rzeczą jałową jest też zwalczać tego, co głosi propagandę, rzeczą jałową jest wreszcie dążenie do dyskusji".

Tak myśli przeciętny Włoch. Dziesiątki tysięcy, a może setki lub miliony. Ale też w takich warunkach trudno poważnie szermować argumentem trwałości reżimu faszystowskiego.

Ostatecznie każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje.

—o—

NA ŚWIATŁO DZIENNE

Jak b. woźny Magistratu wyobrażał sobie dawny Lwów

Mimo ciężkie czasy lwowskie muzea wzbogacają się o coraz to nowe zabytki. Objaw to chwalebny. Kupno zabytków odbywa się niekiedy jednak wyjątkowo w dziwnych okolicznościach i o jednym takim wypadku z ostatnich dni krążą następujące wieści:

Kustosz jednego z muezów kupił za 180 zł rysunek piórkiem malowany, przedstawiający Niski Zamek we Lwowie od strony zachodniej. Rysunek ma pochodzić z XVIII w., bo świadczy o tym papier, na którym Niski Zamek, dziś już nieistniejący, narysowano. Autor nieznany. Oczywiście, że tak rzadki dokument jest wyjątkowo cenny i dlatego cena wydaje się nawet bardzo niska. Ale tylko na pierwszy rzut oka i dla laika. Fachowcy bowiem opowiadają następującą historię rysunku.

Z końcem wieku minionego pracował we Lwowie jako woźny Magistratu p. Franciszek Kowaliszyn. Ponieważ okazało się, że woźny odznacza się dużym talentem artystycznym, zaawansował na podurzędnika Archiwum Miejskiego i pod kierunkiem pewnego uczonego zaczął rysować bardzo wiele, m. inn. herby szlacheckie. O tym wiedziano cośkolwiek w czasach przedwojennych. Ponadto z ksiąg, przechowywanych w Archiwum Miejskim wyrywano często kartki, a potem na tych kartkach pojawiały się rysunki p. Kowaliszyna, reprodukcje autentyków, mało dostępnych, lub mało znanych. Papier ksiąg Archiwum Miejskiego ma specjalny znak wodny półksiężyca i o tym wiedzą też fachowcy. Podczas wojny śp. Kowaliszyn zmarł, a ostatnio coraz częściej pojawiają się niewiadomo skąd i przez kogo wyłowione stare rysunki Kowaliszyna, o których oczywiście się mówi, że są to stare i autentyczne prace z XVIII wieku.

Rzekomy autentyk, nabyto ostatnio za 180 zł ma być właśnie takim rysunkiem Kowaliszyna, o tyle chyba znamiennym, że rysujący go sam, czy pod czyimś kierownictwem funkcjonariusz Archiwum nie zrozumiał dobrze wartościowego rysunku inżyniera nawigacji Francois Perneuera z 1772 r. i źle go... skopiował. Fatalnym błędem, który od razu wskazuje na nieumiejętność, czy fałszywe instrukcje mistrza, jest fakt przedstawienia trzech kondygnacyj na Niskim Zamku, gdy powszechnie wiadomo, że kondygnacyj było tylko dwie. Trzeba tylko Perneuera dobrze „czytać". Takich fatalnych pomyłek przy odcyfrowaniu kresek Perneuera jest więcej.

Czyżby kustosz owego Muzeum, kupując rysunek dla instytucji publicznej nie miał czasu na zasięgnięcie porad fachowców, jeżeli sam na falsyfikacie się nie poznał? O ile nam wiadomo muzea kupują dzieła jawnie i pod kontrolą publiczną. Tajemnicy z tego się nie robi. Tylko kradzione rzeczy sprzedaje się w ciemnościach, przy blasku ledwo migocącej latarni i bez świadków.

—o—

Oczekujemy wyjaśnień

Były działacz O. U. N. wybrany został do prowidu U. N. D. O katastrofalnie małą liczbą głosów. Zaniepokojony brakiem zaufania rodaków, pan poseł palnął sobie w Sejmie mówkę. W związku z tym sejmowym wystąpem rozeszła się wśród Ukraińców pogłoska, że pan poseł wybrany został wiceprezesem prowidu U. N. D. O. za tę mowę, której skutkami mają być nowe wypadki polityczne i nowa sytuacja w Małopolsce Wschodniej.

Nie pierwszy to wypadek przechwałek undowskich posłów. Plotka dawno już głosi, że undowscy posłowie mieli się przyczynić do usunięcia i likwidacji jednego dygnitarza wojewódzkiego.

W związku z tymi plotkami prosimy o urzędowe wyjaśnienia czy i o ile Ukraińcy są upoważnieni do rozsiewania takich właśnie pogłosek, które deprymująco oddziaływują na polski ogół.

W interesie samych Ukraińców leży wyjaśnienie tej sprawy, gdyż ona stanowić może źródło nowych nienawiści i nieporozumień politycznych.

Zanim plotka wyrządzi szkody państwowo nie do odrobienia — należy ją co szybciej zdementować w duchu niedawnych wywodów I. K. C. i całej zresztą polskiej prasy.

Prosimy wpłacać prenumeratę

KRONIKA LEGIONOWO-PEOWIACKA

Pamięci Kol. Karola Balkowskiego

Przed kilku dniami ubył na zawsze z naszych szeregów aktywny działacz społeczny, długoletni prezes Oddziału Zw. Leg. Pol. w Nadwórnej śp. Karol Balkowski.

Już od zarania swej młodości zaprawiał się śp. Karol Balkowksi do twardej i ofiarnej pracy narodowej. Mając lat 17, wstępuje do Legionów i bierze udział w walkach 6 p. p. Leg. Pol., następnie po kryzysie przysięgowym pracuje konspiracyjnie w P. O. W. w Lublinie, po czym od pierwszych Dni Listopadowych 1918 r. bierze udział w walkach w Obronie Lwowa, w których zostaje dwukrotnie ranny, w szyję i piersi.

A kiedy wrócił w domowe pielesze już w Wolnej, Niepodległej Ojczyźnie, resztki steranego wojną zdrowia poświęca dalszej pracy dla Państwa.

Kilkakroć wybierany Prezesem Oddziału Zw. Leg. Pol. w Nadwórnej i czynny w szeregu innych organizacyj społ., cieszył się poważaniem i szacunkiem wszystkich, z którymi się stykał w pracy społecznej.

Nie należał on do ludzi, którzy po powrocie z wojny ułożyli sobie życie wygodne przy piecyku, lecz do ostatnich dni swego żywota szedł linią wskazaną przez Komendanta, jako wierny Jego Żołnierz - Idealista.

Cześć Jego świetlanej — żołnierskiej pamięci!

* * *

Zamiast wieńca na trumnę śp. Karola Balkowskiego Prezesa Oddz. Zw. Leg. Pol. w Nadwórnej złożył Zarząd Okręgu kwotę Zł. 20·— na wdowy i sieroty po legionistach.

Zarząd Okręgu Zw. L. P. Lwów

Sprawa ustalenia warunków życiowych części Kolegów - legionistów ciągle jeszcze nie jest należycie unormowana. Liczni Koledzy - legioniści nadal borykają się wraz ze swoimi rodzinami z niedostatkiem.

Dotychczasowe metody i środki poprawy tego stanu rzeczy okazały się niedostateczne.

Zarząd Okręgu postanowił przystąpić do definitywnego i konkretnego uregulowania tego problemu.

By nadać temu cechy akcji zbiorowej,ześrodkowanej w Okręgu lwowskim, zachodzi wpierw potrzeba zebrania dokładnego materiału statystycznego, ilustrującego dokładnie w cyfrach trudne warunki bytu legionistów. Nie chodzi tu o bezrobotnych, których liczba w ostatnich czasach istotnie spadła do minimum, lecz o tych Kolegów, którzy na swoich stanowiskach mają niedostateczne uposażenie.

Zebrany materiał, po odpowiednim opracowaniu go, posłuży Zarządowi Okręgu do skonkretyzowania wniosków, które zostaną przedłożone Opiekunowi Głównemu, Panu Premierowi Gen. dr. Sławoj-Składkowskiemu, oraz wszystkim Kolegom - legionistom Posłom i Senatorom.

Wszczęta przez Zarząd Okręgu na szeroką skalę akcja winna znaleźć zrozumienie i poparcie przede wszystkim u tych Kolegów - legionistów, których to bezpośrednio dotyczy, a więc zatrudnionych w instytucjach i przedsiębiorstwach państwowych oraz samorządowych.

Zarządowi Okręgu jest wiadomym, że przy ostatnich awansach styczniowych br. uwzględniona została znikoma ilość legionistów mimo zapewnień, że odznaczeni Krzyżem Niepodległości w pierwszym rzędzie awansami będą objęci.

Zarząd Okręgu prosi Kolegów, by w swym własnym interesie jak najdokładniej i czytelnie wypełnili kwestionariusze, które otrzymają ze swoich macierzystych Oddziałów Zw. Leg., a po wypełnieniu, by niezwłocznie zwrócili je właściwym Zarządom Oddziałów, które zkolei prześlą je zbiorowo Zarządowi Okręgu w terminie do dnia 20 lutego 1938 r.

Oddział Zw. Leg. Pol. — Lwów

Dnia 29 stycznia br. odbyło się w lokalu Oddziału Zw. Legionistów Polskich, przy ul. Jabłonowskich 11, uroczyste otwarcie świetlicy, połączone z obchodem rocznicy powstania styczniowego.

Uroczystość powyższą zaszczycili swą obecnością PP. Wojewoda Biłyk, Generał Tokarzewski, wicewojewoda Chmielewski, Prezydent miasta dr Ostrowski, Prezes Zarz. Okr. Zw. Leg. dr Wojciechowski, oraz przedstawiciele bratnich Związków i wielu Gości poza członkami tut. Oddziału. Ponadto był obecny powstaniec z r. 1863 p. Antoni Süss.

Poświęcenia lokalu dokonał Przeor OO. Dominikanów Ks. Joachim Nowak. Następnie przemówił Prezes Oddziału S. O. Boczar Wiktor i powitawszy zebranych omówił dotychczasowe prace Oddziału.

Równocześnie Prezes Oddziału złożył podziękowanie P. Prezydentowi Ostrowskiemu, jako przedstawicielowi miasta, za wykonanie remontu budynku, który służy za lokal Związku Legionistów, a który jest własnością miasta Lwowa.



Nowootwarta świetlica w lokalu Oddziału Zw. Leg. Pol. we Lwowie.

Bardzo interesujący referat o powstaniu styczniowym wygłosił prof. Zygmunt Reis. Dalszą część programu wypełniły recytacje p. Kiss-Orskiego oraz produkcje muzyczne i wokalne, z udziałem P. Leszka Reychmana.

*

W dniu 1. II. br. odbyła się w świetlicy tut. Oddziału Akademia ku uczczeniu Imienin Pana Prezydenta R. P. Prof. Ignacego Mościckiego. Na całość Akademii złożyło się doskonałe przemówienie o działalności naukowej Czcigodnego Solenizanta, wygłoszone przez Inż. prof. dr. Gostkowskiego Kazimierza. Deklamacje zostały wygłoszone przez p. Banszlównę i Bogusława Kornagę, ucznia 6 kl. szkoły powszechnej. Akademię zakończono odśpiewaniem Hymnu Narodowego.

Jeden z legionistów pisze nam z Przemyśla:

Jestem przeświadczony, a przeświadczenie to opieram na stałym i bliższym utrzymywaniu kontaktu z legionistami, że większość kolegów legionistów dzisiejszej polityki w kraju nie rozumie, jak też i „warszawskiej" polityki Obozu Legionowo-Peowiackiego.

Ogólną politykę pozostawiamy nadal naszym dawnym kolegom a dzisiejszym „politykom", których jest (moim zdaniem) stanowczo za dużo. Natomiast jeśli chodzi o linię postępowania w łonie naszego Obozu Legionowo-Peowiackiego, to już chyba nasi panowie koledzy „z góry" zezwolą, że o tych sprawach coś nie coś powinno mieć czasem do powiedzenia szersze grono legionowe.

Jest niezaprzeczonym faktem, że w ostatnich latach organizacja legionowa mocno skrzepła, że zaległości i zaniedbania z okresu bezpowrotnie straconych lat — zostały częściowo odrobione.

Możnaby śmiało zaryzykować twierdzenie, że jeśliby od pierwszych lat istnienia organizacji legionowej, zainteresowano się nią, — usprawniono, — bardziej uspołeczniono ją jako formację o wielkich możliwościach pracy i wysiłku w życiu publicznym, — to dziś nie istniałby problem coraz bardziej piętrzących się trudności Zjednoczenia Narodu. — Tak bowiem jak cudu dokonali koledzy w wojsku (jednolitość armii), dokonaliby podobnego dzieła w społeczeństwie koledzy w cywilu.

Dzisiejsze pozytywne wyniki ostatnich lat pracy organizacyjnej są tylko w pewnym stopniu zasługą tzw. „góry". Wzmocnienie Obozu nastąpiło od dołu. Dokonała tego — pozbawiona kombinatorstwa i spryciarstwa — szara żołnierska brać legionowa.

Rozpiętość skali sprzyciarzy i kombinatorów jest ogromna — byli oni i pozostali plagą naszą.

Przytoczę choćby jeden przykład. W Kozienicach zgłosiło się kilku kombinatorów do raportu pułkowego — ni mniej ni więcej tylko w sprawie przeniesienia ich z Legionów do wojska austriackiego (mieli matury, a byli tylko podoficerami). Raport odbierał ogólnie lubiany i szanowany, gorący patriota Płk. Zieliński. Oburzył się i powiedział: „Co, wy chcecie do wojska austriackiego — to wy Polaki? Po to jeździłem do cysarza, by Polaki mogli się przenosić z wojska austr. do Legionów, a wy chcecie do wojska austr., to wy Polaki?" — Splunął i odszedł.

Przenieść ich musiał, bo taka była, — zresztą przez krótki czas, umowa, że kto pragnął przenieść się z Legionów do wojska austriackiego i odwrotnie, przeszkód stawiać nie było wolno. W praktyce wypadki takie były bardzo rzadkie, bo legionistów-kombinatorów było niewielu.

Poszli oni do austriaków „robić gwiazdki". — Takich i tym podobnych kombinatorów jest dziś w Polsce dużo. — Powiedz mu co do słuchu, to cię zaskarży albo przesiedli, choćbyś miał Krzyż Niepodległości z Mieczami, — bo on spryciarz ma fundusze i wpływy.

Takie właśnie typy dostały się do organizacji, byle tylko stanowisko chwycić. A potem obojętny im jest los organizacji, członków. Co ich obchodzą problemy społeczne czy polityczne? To często kosztuje, a czasem zachodzi potrzeba poświęcenia bezinteresownej pracy i wysiłku. — Organizacja dla nich to odskocznia dla celów innych, własnych. Obawiam się, że jeśli nadal taki stan trwać będzie, to i ten ostatni dorobek żołnierski braci legionowej zostanie zmarnowany, a szkoda, bo to już ostatni etap pracy.

O nienależytym przemyśleniu regulaminów Kół Pułkowych i statutu Związku i jak przez to powstał twór o jednej głowie i o dwóch kadłubach, napiszę następnym razem. (wa).

Lwowscy Peowiacy opiekują się szkołami wiejskimi

(hw) W związku z akcją opieki nad szkołami, którą zainicjowała armia, Lwowskie Koło Peowiaków przystąpiło do zorganizowania opieki nad kilku szkołami wiejskimi w powiecie lwowskim. Wybrano szkoły wiejskie, kierując się przeświadczeniem, że szkoła wiejska, zwłaszcza na terenie województw południowo-wschodnich, więcej od miejskiej potrzebuje opieki i poparcia czynników takich, jak siła zbrojna i organizacje niepodległościowców. Zarówno poparcie nauczyciela polskiego w jego działaniu kulturalnym, jak wyjaśnienie rzeczywistego stosunku organizacyj niepodległościowych do wsi, — są motywami zainicjowania opieki nad wiejską szkołą przez Lwowskie Koło Peowiaków. Peowiacy wybierają dla celów swej opieki w pierwszej linii wsie najtrudniejsze ze względów na miejszowe warunki społeczne i narodowościowe, oraz wsie zaniedbane, wychodząc z założenia, że praca na tych eksponowanych placówkach jest najbardziej celową i najzgodniejszą z tradycjami organizacji.

Na początek, idąc za wskazówkami władzy szkolnej w osobie inspektora szkolnego powiatowego, p. Furmankiewicza, oraz kierując się własnymi informacjami referatu opieki szkołami wiejskimi w zarządzie Koła, wybrano szkoły w Mostkach, Miłoszowicach i Pustomytach pow. lwowskiego. Inauguracją działalności P. O. W. w opiece nad wymienionymi szkołami są obchody gwiazdkowe, gromadzące dziatwę szkolną i miejscowe społeczeństwo wiejskie. Pierwszy taki obchód odbył się w dniu 21 grudnia 1937 w szkole w Mostkach. Dziatwa szkolna pod dyrektywą ofiarnej i energicznej kierowniczki szkoły, p. Chomickiej, przygotowała obfity program z zakresu deklamacji, inscenizacji i tańców ludowych charakterystycznych. Nicią przewodnią produkcji było uwypuklenie roli żołnierza jako obrońcy granic i opiekuna świata pracy. Licznie zebrane społeczeństwo miejscowe, złożone z przedstawicieli obydwu narodowości, gorąco oklaskiwało produkcje, a przemówienia delegatów P. O. W. spotkały się z niemniej ciepłym przyjęciem. Imieniem delegacji P. O. W. zabrała głos red. Wolska, podkreślając cel i znaczenie opieki nad szkołami wiejskimi ze strony niepodległościowców w imię wspólnych ideałów gruntowania silnych zrębów Państwa i wytwarzania łączności pomiędzy grupami społecznymi i narodowościami. Następnie urządzono podwieczorek dla dzieci szkolnych, które otrzymały woreczki z przysmakami świątecznymi, a między najuboższą dziatwę rozdzielili Peowiacy odzież i buciki, w liczbie 7 ubrań i 7 płaszczy, 8 koszul, 4 fartuszków, materiału na 7 sukienek, 7 par bucików. Ponad to szkoła otrzymała biblioteczkę szkolną w liczbie 35 książek oraz mapy i komplety pomocy naukowych. Po ukończeniu rozdawnictwa przemawiali prezes miejscowego Koła T. S. L., p. Wróblewski i komendant Strzelca oraz powiatowy inspektor szkolny, p. Furmankiewicz, który w przemówieniu swym podkreślił szczególną doniosłość pracy konsolidacyjnej, prowadzonej przez Sekretariat Porozumiewawczy P. O. S. we Lwowie, pod egidą gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego i nawoływał wieś do współudziału w działalności w myśl wskazań Sekretariatu. Uroczystość zakończono wspólnym odśpiewaniem hymnu państwowego i Pierwszej Brygady.

———o———

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1·50 zł. — Półrocznie 3·— zł. — Rocznie 6·— zł. Cena ogłoszeń: cała strona 500 zł., pół strony 300 zł. ćwierć strony 150 zł., za wiersz milimetrowy jednej szpalty 25 gr., w tekście o 50% drożej.

Wydawca: Zarząd Okręgu Związku Legionistów Pol. we Lwowie. Redaguje: Komitet. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Bogdanowicz

Drukarnia: „Związkowe Zakłady Graficzne", Spółdzielnia z odpow. udział., Lwów, ul. Piekarska 18 — Telefon Nr. 290-05.